

(318)
Rok XXVII
01 - CZERWCA 2021
PR 11353
ISSN 1897-8789
CENA 50 gr
www.gpr24.pl
redakcja@gpr24.pl

GŁOS PRUSZKOWA



MIEJSKI I POWIATOWY MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO, KULTURALNO,
INFORMACYJNY - TYTUŁ ISTNIEJE
OD 1919 ROKU



Czytaj s. 16



Szukaj s. 23

Zasięg: Powiat Pruszkowski, Podkowa Leśna, Janki, Ożarów Mazowiecki, Warszawa Ursus

W NUMERZE:

- » Okno na Planty - s. 2
- » Gorzkie łzy majora Trappa - s. 2
- » Wolsztyn, Poznań, Wrocław... - s. 3
- » Pogrzeb Stefana Bratkowskiego - s. 4
- » Muzeum Dulag 121 - s. 6
- » Moje Pogranicze - s. 8
- » Cmentarz żydowski w Pruszkowie - s. 9
- » Do poczytania i posłuchania - s. 10
- » Polemika - s. 11
- » O Fibaku i Świętek - s. 12
- » Lewy!!! - s. 13
- » Szczepionka genetyczna mRNA - s. 14
- » Bunt robotów - s. 15
- » Informatyka w służbie... - s. 16 i 17

HISTORIA PRUSZKOWSKIEGO JUDO



czytaj s. 20 i 21

Od lewej: Marek PINTARA, redaktor
Więstaw POSPIECH, Radosław PINTARA

Nasza szkoła
- Twój pomysł
na życie



SMSŁO Pruszków
ul. Donulińskiego 2
tel. (22) 756-89-42/85, 577-300-047
e-mail: rekrutacja@zsoiopruszkow.pl
www.zsoiopruszkow.pl

Szczegółowe
informacje dotyczące
rekrutacji znajdują się
na stronie 7, 13 i 23

REKLAMA

Podatki...

SMARTTAX.OU

BIURO RACHUNKOWE
ul. Staszica 1 parter
05-800 Pruszków
tel.: 22 758-87-66
biuro@smarttax.pl
www.smarttax.pl



Gorzkie łzy majora Trappa

Włodzimierz Szpak - reżyser dokumentalista
Foto - Internet

Mężczyźni ze 101 Policijnego Batalionu Rezerwy wyskoczyli z ciężarówek i zgromadzili się w półkolu wokół dowódcy, majora Wilhelma Trappa (podkomend-



Funkcjonariusze 101 Policijnego Batalionu Rezerwy

Hamburg nie należał do awangardy Trzeciej Rzeszy, raczej trzymał się na uboczu, wierny swoim szczególnym tradycjom miasta portowego, otwartego na świat, „kosmopolitycznego”. Jak na ironię w tym właśnie mieście został uformowany w 1942 roku oddział policji, który dopuścił się w stosunkowo niedługim czasie wielu potwornych zbrodni, głównie na polskich Żydach.

W chwili wyjazdu do Polski 101 Policijny Batalion Rezerwy liczył pięciuset żołnierzy, podoficerów i oficerów policji porządkowej. Ludzi niemłodych, niezdolnych do służby na froncie, niezatrutych ideologią hitlerizmu, a tylko powierzchownie i w rzadkich przypadkach jego frazeologią – dobrodusznymi dalekich od fanatyzmu rzemieślników, drobnych buchalistów i małych sklepikarzy hamburskich. W trakcie organizowania oddziału, nikt jeszcze nie wiedział, jakie zadania przed nim staną.

Jego pierwszym miejscem postoju był Biłgoraj na Lubelszczyźnie. Jego pierwszą akcją – oczyszczenie z Żydów pobliskiego Józefowa.

Było jeszcze ciemno, gdy 13 lipca 1942 roku kolumna ciężarówek batalionu wyruszyła spod murowanego budynku szkoły w Biłgoraju. Pojazdy jechały wolno po nierównej drodze wysypanej chrzęszczącym żwirem. Do oddalonego o 30 kilometrów Józefowa dotarły po dwóch godzinach. Właśnie zaczęło świtać.

ni nazywali go pieszczołtliwie „papą Trappem”). Ten, blady i zdenerwowany, łamiącym się głosem wyjaśnił przedmiot „niezmiennie przykrej” akcji. Należało zgromadzić wszystkich Żydów na rynku (około 1800 osób), wyłaczyć z nich młodych i zdolnych do pracy, resztę – starych, kobiety i dzieci – rozstrzelać na miejscu. „Jeśli ktokolwiek nie czuje się na siłach, aby przystąpić do wykonania zadania, może wystąpić z szeregu” – dodał na koniec ze łzami w oczach. Wystąpiło kilkunastu żołnierzy, oglądając się lekliwie za siebie.

Batalion wykonał zadanie przed zmierzchem. Blisko półtora tysiąca Żydów zabito w lesie strzałem w kark, trzystu wywieziono do pracy w specjalnym obozie.

To był start. Batalion 101 stopniowo przywykał do swoich zadań, major Trapp nie ronił więcej łez, przeważnie i zbyt delikatnie przestali występować z szeregu. Na mecie, pod koniec 1943 roku, batalion „zwykłych ludzi” mógł się poszczycić bilansem zaiste godnym pochwały w oczach Himmlera i jego sztabu: 83 tys. Żydów bądź zamordowanych na miejscu w różnych wsiach i miasteczkach Lubelszczyzny, bądź zagonianych do wagonów z przeznaczeniem do gazu.

(wg „*Ordinary Men: Reserve Police Battalion 101 and the Final Solution in Poland*” Christophera Browninga)



Zdjęcie z miejsca zbrodni dokonanej na Żydach w 1942 roku w Józefowie Lubelskim przez niemiecki 101 Policijny Batalion Rezerwy

Okno na Planty

Andrzej Sikorowski - polski piosenkarz, kompozytor, gitarzysta, autor tekstów. Od 1977 w krakowskiej grupie Pod Budą
Foto - Bogusław Kucharek

higienistka przybywała ze stosownymi fiolkami podczas lekcji. Jeden z licealnych kolegów uczulony na widok igły (o krwi już nie wspomnę) na samą myśl o kluciu mdlał i trzeba było prowadzić go do gabinetu lekarskiego. Ilość pomagających w tym akcie – czytaj chętnych do zwiania z klasy



Głos Pruszkowa czytany jest również w Krakowie (na zdjęciu z gazetą Andrzej Sikorowski)

Góra nasi

Tęsknota za narodowym sukcesem jest w naszym kraju niebywała i często prowadzi do groteskowych sytuacji. Kto wpadł na pomysł by nagłaśniać (mówię o mikrofonach) chóralny wykon kadry piłkarzy przed meczami tychże? Nie dość, że śpiewają już niejedną lecz dwie zwrotki „Mazurka”, to fałszują niemiłosiernie, czyniąc z pieśni karykaturę. Kopacze piłki nie muszą umieć śpiewać, ale po cholere! to pokazywać wszem i wobec.

O zagranicznym sukcesach estradowców słucham z prawdziwym rozbawieniem, bo znam się nieco na podbijaniu Stanów, Kanady, Australii. Miałem okazję tam występować, ale nie przyszło mi do łba twierdzić, że lada moment zacząć robić zamorską karierę. A tu słyszę, że ten i ów jest sławny nie tylko w Polsce, ale też na świecie, że nagrał płytę w Nashville! Otóż Ameryki nie zdobywa się śpiewaniem do kołatek w polonijnych klubach, a płytę w stolicy country może nagrać każdy, kto opłaci studio i muzyków. Problem co z taką płytą potem zrobić prócz szansy pochwalenia się nią w domu. Na próbie zawojowania rynków światowych połamali sobie zęby różni nasi wykonawcy, ale rodzima publika wciąż słyszy peany na ich cześć.

Każdy najmniejszy sportowy sukces fetujemy tygodniami lecząc kompleksy, bo jak ktoś nie może wygrać na polu ekonomii, gospodarki, nauki, to niechże chociaż bliźniemu za to gratulacje skopie dupę albo da po mordzie.

Szczepienie

Tytułowe słowo robi obecnie nieprawdopodobną karierę, odmiennie przez wszystkich przypadki w ustach polityków, celebrytów, przedstawicieli mediów, w tramwaju, autobusie, sklepie, na ulicy. A przecież czynność wbijania igły w ramię była dotąd zupełnie oczywistym elementem codzienności pamiętany z dzieciństwa. W szkole okazała się uniknięciem klasówki, bo pani

nie świadczyła wcale o nadmiernej trosce o los delikwenta. Dziś na szczepienie covidowe czekam z niecierpliwością i bez obaw. Lansujących teorię o zamierzonej działalności by nas tymi zastrzykami uzależnić, zmienić, podporządkować mam za kretynów, na którą to dolegliwość żadnej medycznej obrony nie wynaleziono. A na pytanie czy się szczepię odpowiadam w sposób, który irytuje nieco moją wyrozumiałą małżonkę. Otóż szczepię się z każdą ładną pielęgniarką, nie wiem jedynie czy mnie będzie chciała.

Tapeta

Należę do pokolenia pożeraczy książek. Nie miały one dawniej konkurencji w postaci ekranu dowolnych rozmiarów, na którym w każdej chwili można było wywołać żądaną opowieść. Myśmy czytali z zapartym tchem wszystko co wpadło w ręce, pożyczając sobie nawzajem, chodząc do bibliotek rozmaitych. Do dziś zajmuję się w domu kilkoma równocześnie lekturami, kupuję prasę, a odwiedzając znajomych popielam nietakty polegające na podświadomym łapaniu w dłoń leżącą na wierzchu literatury wszelkiego rodzaju. Nigdy nie liczyłem objętości posiadanego księgozbioru, ale stanowi go pewnie parę tysięcy sztuk. Nigdy natomiast nie przyszło mi do głowy by podczas niezliczonych wizyt telewizyjnych kamer w moim domu usadowić się na tle regału z książkami. Ten zaś obrazek jest tymczasem swoistą epidemią w czasie pandemii. Kiedy dowolnej specjalizacji uczona postać ukazuje się na małym ekranie ma za sobą jak ja to nazywam tapetę w postaci ściany tornów w różnych kolorach.

Im bardziej utytułowany mędrzec tym potężniejszy za plecami arsenał jakby miał potwierdzić kompetencje właściciela. No bo skoro tyle przeczytał to pewnie wie. Taka zależność wcale nie jest oczywista a światłe słowa mogą paść z ust osoby mającej w tle kawałek muru, lub zimowy pejzaż. Pytanie: Ile książek przeczytał profesor politologii? Odpowiedź: Wszystkie.

Za zgodą „VIS A VIS”

WOLSZTYN - POZNAŃ - WROCŁAW - WARSZAWA - ŁÓDŹ - SOSNOWIEC - KRAKÓW - PRUSZKÓW

Jerzy Antkowiak - projektant mody, publicysta
Foto - redakcja



Znaleźliśmy zdjęcie autora siedemnastoletniego, a dorosły jest w naszej kartotece. Redakcja G. P.



Proszę Państwa! Oto kolorowy bukiet miejsc moich wspomnień, albo rewia miast z którymi mnie wiele łączyło, z każdym inaczej i z każdym nadal. Jest pokpiwając esteci z mojego chomikowania wszystkiego, od starych żurnali jakoby niemodnych, do starych książek, szkiców, pocztówek, kalendarzy, czyli jak określają to niedowiarkowie - samych szpagatów.

Owszem, też czasem pisuję „w moich przepastnych szpagatach”, bo one oczywiście są obowiązkowym dodatkiem do tych moich nieustających znalezisk, a tym razem wysypałem takie oto „cudo”, literacko niewątpliwie z usterekami, ale pisane sercem, więc proszę darować. Było onegdaj piśmiemko o wdzięcznej nazwie FILIPINKA, dla nastolatków, tamtych nastolatków, których dzisiejsi przeskoczyli o całą epokę. Wydawnictwo FILIPINKA poprosiło różnych znanych z tego i owego, bardziej lub mniej zaangażowanych MATUZALEMÓW, aby napisało ileś, nie pomnę teraz ile znaków (do dzisiaj mam na bakiu z tymi znakami), czyli tekstów pod tytułem GDY MIAŁEM SIEDEMNAŚCIE LAT. Siedemnaście lat to ja miałem w moim rodzinnym WOLSZTYNIE, miścinie

pięknym, a właściwie to w miasteczku bajkowym. Zapewne odległość i lata, mówiąc przesadnie patetycznie „rozstania” potrafiły wywołać takie poetycznie skojarzania i spowodować prawdziwe wzruszenia. Kiedy ma się lat siedemnaście wszystko jedno gdzie: w Wolsztynie czy w Szczepieszynie, Nowym Tomyślu, Nowym Targu czy w Nowym Jorku, w Pruszkowie, Krakowie, Charkowie - wszędzieśmy podobni, „siedemnastka” to szczyt lat chmurnych, durnych, ale i jednych jedynych lat i nigdy już tak nie będzie, jak wtedy!

Życie nie jest tak bajkowe jak uroda mojego rodzinnego miasteczka... Oczywiście tej książeczki ze wspomnieniami nie znalazłem, ale ktoś przed laty zrobił mi albo reprint, przedruk czy może ksero (też w te klocki nie jestem mocny. Kto mnie zna, wie, że pisuję na maszynie do pisania i przy pomocy kalki mam kopię, lub nie, bo kalka robi mi psikusy...) i to właśnie te cztery strony 32,33,34,35 przeleżały w kartonie dwadzieścia pięć lat, wydano te nasze memuary lat szesnastych w 1996 roku. W tym naiwnym tekściku jest atmosfera i realia lat 50-tych XX wieku, jest i błąd, bo moje liceum było „za Niemca” Seminarium Nauczycielskim, a nie Duchownym. To nie jest tekst dla bibliofilów i badaczy rzeczywistości, raczej dla wesołych i z poczuciem humoru „bukinistów”, teraz po tylu latach czytając grzeszny, układny tekstik „do druku”, a my naprawdę ostro rozrabialiśmy. Oto opowieść być może naiwna, ale prawdziwa.

TACY BYLIŚMY...

Jerzy Antkowiak
Moja mama prowadziła sklep z kapelusami, który po wojnie przejęła moja ciocia. Jak ja się wyżywałem w tym sklepie! Co ja nie nawymyślałem fasonów.

Byłem niespokojnym duchem. W mojej klasie znalazło się więcej takich gagatków jak ja. Prześcigałymi się w robieniu kawałów profesorom. Na przykład na geografii potrafiliśmy tak zawiesić mapy, że przy najmniejszym dotknięciu z hukiem spadały. W połowie XI klasy nasz mały rozum musiał sięgnąć zenitu, bo przeniesiono nas karnie do gabinetu biologicznego, który sąsiadował z pokojem nauczycielskim.

Pamiętam wszystkich swoich nauczycieli. Papę, czyli polonistę, prof. Jabłońskiego, prof. Hajdka, także polonistę, którego twarz kojarzyła mi się z twarzą Majakowskiego. Profesor od francuskiego miał ksywkę Bulldog, bo robił nieprawdopodobnie groźne wrażenie, choć był do rany przyłoż. Łaciniczka, Łucja Borusówna, przypominała nauczycielkę wiktoriańskiego college'u. Wykonywała nerwowo tik głową. Zamiast tego nie zauważać, my, durnie, skreślaliśmy się ze śmiechu na każdej lekcji.

Bardzo podobała mi się gimnazystka, w którym miściła się moja szkoła. Znajdowało się w nim mnóstwo zakamarków, bo budowano je z przeznaczeniem na seminarium duchowne.

Na przerwach dziewczyny-kujony i chłopcy-okularnicy spacerowali dwójkami po korytarzu i powtarzali lekcje. Jak ja lubiełem obserwować ten posuwisty polonez. Klasowe pary gruntuwały wiedzę, siedząc policzek przy policzku. Uлюбioną rozrywką co poniedziałek było natarcie na taką parę z prawej i lewej strony, aby ją - jak to nazywaliśmy - sparzyć. Szturm następował przeważnie wtedy, gdy nadchodził ktoś z ciała pedagogicznego. Napastnicy, w sile po pięciu z każdej strony, rozpierzchali się w okamgnieniu, a ofiary przez dłuższą chwilę nie mogły rozdzielić się z przerażenia. Mnie i koleżankę Gołębkównę spotkało coś takiego na oczach przewodniczącego ZMP, który szedł obwieścić jakąś ważną informację. Na najbliższym ogólnoszkolnym zebraniu nie omieszkali mi tego wytknąć. „A jeśli chodzi o kolegę Antkowiaka, to chciałem zapytać, czy moralność ministranta - przez całe liceum byłem ministrantem - pozwala głaszcząc dziewczyny w obecności niewinnych panienek i młodzieńców?”

Takie to były czasy. Z transparentami „Nie damy się Amerykanom” jeździliśmy całymi klasami zbierać stonkę. Robiliśmy to nawet w dobrej wierze. Jak Amerykaniec nasywał, to trzeba wybierać. Obowiązkowe było prenumerowanie „Sztandaru Młodych”, który we wczesnych latach pięćdziesiątych roił się od informacji z serii: wujek Sam znów podłożył nam świnię. Uświadamiani po kryjomu przez rodziców wiedziliśmy, co w trawie piszczy, ale nie było w nas pasji publicznego demonstrowania tej wiedzy.

Być może miała na to wpływ atmosfera miejsca. Pochodzę z Wolsztyna, uroczego miasteczka otoczonego dwoma jeziorami. Niedzielne wolsztyńskie popołudnia zostają w mojej pamięci na zawsze. Po dobrym obiedzie szło się zawsze całą ferajną - w ziemi na żywo, a latem na łódki. Dziewczyny siadały z tyłu, chłopcy wiosłowali. Uwielbialiśmy rozpedzać się na cztery wiosła i wjeżdżać w trzciny. Nietrudno sobie wyobrazić, co się wtedy działo. Później maszerowaliśmy do cukierni, których w Wolsztynie było bez liku, a stamtąd do kina.

Zaliczałem po kolei filmy radzieckie. Co roku, z okazji rocznicy rewolucji październikowej, odbywały się ich pokazy. Ogromne wrażenie zrobił na mnie „Pan-cernik Potiomkin”. Wszyscy moi koledzy na sali rzyli ze śmiechu, a ja naprawdę przeżywałem te schody.

Kino kochałem autentycznie. Nie przepuściłem żadnego tytułu z Ritą Hayworth i filmów reprezentujących włoski neorealizm. Na „Mury Malapagi” wybrałem się z Wacławem Świeżyńskim, późniejszym krytykiem tygodnika „Film”, do Poznania. Tak bardzo intrygował nas ten tytuł, że nie chcieliśmy czekać, aż będzie wyświetlany w Wolsztynie.

Co sobotę odbywały się w szkole potańcówki. Dostałem wierszliki dziury w brzuchu profesorom, aż się zgodziły. Czasem tworzyliśmy silną grupę nacisku, śliśmy do matki któregoś z nas i mówiliśmy: „Dzisiaj tu!”. I nagle na trzy, cztery zaczynała się prywateczka.

Dziewczyny starały się naśladować w ubiorze Brigitte Bardot. Chłopcy przychodzili przeważnie w „kolorowych” garniturkach. Nie było wtedy jeszcze kolorowej odzieży i dzinsów. Ale docierały paczki UNIRY. Pamiętam, że z upodobaniem nosilem unrowską zieloną bluzę i czerwony szalik. Byłem, zdaje się, dość malowniczy jak na tamte lata.

Moja mama prowadziła sklep z kapelusami, który po wojnie przejęła moja ciocia. Jak ja się wyżywałem w tym sklepie! Co ja nie nawymyślałem fasonów. Sam nie nosilem kapelusza. Wolalem wtedy młodzieżowy kaszkiet.

Kochałem się w tym czasie, chyba bez wzajemności, w Teresie Wojtkowiakównie, córce kierownika kina. To był podwójny paradoks.

Równoległe z kinem fascynował mnie teatr. Gdyby nie to, że stór nadepnął mi na ucho, może zdawałbym do PWST. Kiedy jako ministrant śpiewałem koledy, ludzie patrzyli na mnie ze zgrozą. Aż jeden z księży nie wytrzymał: „Antoś, ty tak fałszujesz. Daj sobie lepiej spokój z tymi koledami”.

Dowartościowywałem się osiągnięciami w sporcie. Nieźle pływałem. Mogłem całe jezioro przepłynąć wzdłuż, z powrotem i pięć razy naokoło. Rodzice mawiali, że jestem wyznaczony w wodzie.

Udziałem się bardzo pracowicie w szkolnym radiowęźle, a potem także w miejskim. Codziennie latałem tam przed lekcjami, na siódmą. Relacjonowałem przeważnie wydarzenia kulturalne. Mój dobry tata protestował, uważając, że mam fatalny timbre głosu, ale ja się tym w ogóle nie zrażałem.

W czasach wolsztyńskiego liceum o profilu matematyczno-biologiczno-chemicznym nie przeczuwałem nawet, że będę zajmował się projektowaniem mody. Z matematyki niczego nie mogłem pojąć. Czasem przeleciał mi jakiś błysk światła. Pamiętam, że co nieco pojmywałem z postępującego arytmetycznego i geometrycznego. Ale generalnie kłapy mi się zamykały.

Chciałem tak jak Wacek Świeżyński zdawać na dziennikarstwo w Krakowie. Mój tata nie zgodził się. Życzył sobie, żebym kontynuował rodzinne tradycje i studiował prawo w Poznaniu.

Wolta z modą jest dziełem przypadku. Ponieważ prawo absolutnie mi nie leżało, zacząłem na sześć

tygodni przed egzaminami szukać w informatyce, gdzie ewentualnie mógłbym jeszcze zdawać. Zdecydowałem się na Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych we Wrocławiu. Z zerowym, powiedzmy sobie szczerze, dorobkiem. Wziąłem przyspieszony kurs kompozycji u miejscowego rzeźbiarza, pana Przymuszały. Naprawdę namalowałem Balladynę z dżabanem jako „dorobek” i zostałem przyjęty. Wybrałem ceramikę, choć wcale mnie ona nie rajcowała. Po studiach próbowałem ilustrować „Misiu”. Zapisalem do Związku Plastyków Polskich i wciąż zastanawiałem się, co by tu robić. Przypadkowo znalazłem się na wystawie Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Zobaczyłem kawałek garderoby, modelki, Grabolkę — Jadwigę Grabowską, założycielkę „Mody Polskiej”. I nagle pomyślałem: „Jezus Maria, może to jest właśnie to!”. Natarłem z siłą wdopadku i rzeczywiście okazało się, że to jest to.

Potem płaciłem fryzycy. Ale miłe fryzycy. Wcale tego nie żałowałem. Nigdy.

Jerzy Antkowiak. Projektant mody. Autor kilkunastu kolekcji dla „Mody Polskiej”. Wydał autobiograficzną książkę „Sekrety modnych pań”, w której oprócz wspomnień zawarł także garść przestroż zawsze aktualnych, bez względu na to, jak zmieniają się długości i fasony.

P. S.

W latach o których piszę robiliśmy głupie i bywało nieobyčajne kawały, ale jednak tylko kawały.

Niestety, wielu kawalarzy z naszej paczki, z naszej klasy odeszło, a także nasze „muzy”. Basia Gołębkówna i Teresa Wojtkowiakówna, z chłopców Stasia Domagałski, Zbyszek Horbory, Tolek Kurlus i zapewne inni, chcieliby się zadać słynne pytanie: „co się stało z naszą klasą?...”.

Te tytułowe miasta to trasa moich wędrówek i w każdym z nich zostawiłem ślad czegoś ale i te miasta były moją trampoliną. Z WOLSZTYNĄ z bardzo „cieniutkimi” rysunkami natarłem w 1953 XX w. na PWSP we WROCŁAWIU, a z PRUSZKOWĄ w 1960 też z rysunkami mocno „postarzonymi” atakowałem przez pół roku MODĘ POLSKĄ. W WARSZAWIE, KRAKOWIE i „w miścinie” ŁÓDZI wiszę w różnych MUZEACH i GALERIACH. Chętnie bym jeszcze powisiał sobie w Wolsztynie... Zobaczyćmy.

Wrocław to uczelnia i sentymenty, Poznań to targi i niezliczone rewie mód. Kraków, to znów młodzież i dyplomy w SAPU i jedyny na świecie zwisający nam z nieba „VIS A VIS”, a Łódź, to najmilsze wspomnienia z wizyt w ASP i wystawy w Muzeum Włókiennictwa. Moda Polska w tych wytwornych wnętrzach puszy się jak światowa dama.

A w Sosnowcu? W Sosnowcu na cokole stoi Jan, Wincent Kiepara. A ja wiszę oczywiście w Szkole Projektowania i Stylizacji Ubioru oraz w Galerii „Ładniej”, gdzie również trochę stoję na manekinach. Szesnaście lat współpracy minęło „Jak sen jaki złoty”. Było pięknie...

A w Pruszkowie? Chodzę sobie z laseczką, czasem z laseczką i z Julankiem, moim ośmioletnim wnucukiem, czasem z już dorosłą wnuczką Julcią, a bywa, że jeżdżają się cała ferajna i wtedy już nie wiadomo kto jest kto.

Czymcham wtedy do Art - Cafe na stacyjce EKD w Komorowie i piszę tam felietonik, a za chwilę jest cała moja menażeria prawnuczek, prawnuki, wnuczki i wnuk, wstąpi na stole: soki, lody, fructy i bonbon - koniec pisania...

Czyż nie Wesołe jest życie staruszka Ha! Ha!

Pozdrawiam Miasta, Miasteczka, Siola i Metropolie a w nich Wszystkich z Poczuciem H U M O R U ! ! !, a zaś PONURAKOM życząc od serca: OPAMIĘTAJCIE SIĘ ! ! !

Jerzy Antkowiak

www.gpr24.pl  Wiadomości pożegnanie

Pogrzeb Stefana Bratkowskiego

Tekst & foto - Adam St. Trąbiński, dziennikarz

Przyznajemy się, trochę natrudziliśmy się z ustaleniem daty pogrzebu Stefana, Tadeusza Bratkowskiego, który zmarł 18 kwietnia br. w wieku 86 lat. W końcu w ostatni wtorek, 11 maja zjawiliśmy się – jako delegacja „Głosu Pruszkowa” Marek Strójwąg i niżej podpisany (także jako wysłannik prof. Andrzeja Targowskiego) na Starych Powązkach przy kwaterze nr 105.

Dobrze, że byliśmy wcześniej: (skorzystaliśmy z parkingu Straży Miejskiej od strony ul. Tatarskiej) i odnaleźliśmy stary rodzinny grób Bratkowskich i donieśliśmy olbrzymi wieniec od profesora. Wokół krzatali się pracownicy Estrady Stołecznej, jacy montowali nagłośnienie, stołeczna Straż Miejska, która potem trzymała wartę honorową.

Trochę poczekaliśmy na kondukt pogrzebowy jaki się formował przy IV bramie i powoli zmierzał na miejsce. Smutną i cichą uroczystość prowadził Jacek Fedorowicz. Pierwszemu, po odegraniu przez hejnalistę hymnu Warszawy, udzielił głosu Kamilowi Dąbrowie, który odczytał list prez. Trzaskowskiego. Ten z kolei podkreślił cechy osobiste Zmarłego „ciekawość świata”, „pogodę ducha” i „inicjatywę ruchu samorządowego w polskiej rzeczywistości” a także „twórczość i bycie katalizatorem przemian” i bycie „humanistą i pragmatykiem”. Redaktor naczelny Polityki, Jerzy Baczyński mówił z pozycji młodszego

dziennikarza dla których i postać, i działalność (wraz z bratem Andrzejem) była niezwykle ważna. Dał tu jako przykład książkę „Gra o jutro. Część II” – testament publiczny obu braci Bratkowskich – „nieprawdopodobnej mapy erudycji”.

Jako trzeci z kolei głos zabrał dotychczasowy rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar – cytował odpowiednie zapisy Konstytucji RP w kontekście wolności obywatelskich oraz mediów, dla Bodnara postać Bratkowskiego jawiła się w okresie epoki przełomu czy też paru epok... W imieniu gazety internetowej Studio Opinii (której Bratkowski był założycielem) wystąpił jej szef Bogdan Miś, który mówił „Stefan to cała epoka” i skupił się w zasadzie na twardych regułach owej gazety, jakie narzucił Bartkowski: żadnych reklam, żadnych bijatyk (na łamach). Pan Miś podkreślił skromny zasięg Studia Opinii – do 2 tys. odsłon dziennie, ale przez 13 lat uzbierało się ich 10 mln i ponad 20 tys. artykułów.

Wymienił też wiele nazwisk osób – współpracowników, jacy odeszli – m.in. felietonistę Antoniego Kopffa. Dalej wystąpił w imieniu SDP (Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich) Ernest Skalski, który to podkreślił „najważniejsze osiągnięcie Stefana – prezosowanie organizacji w latach 1980-1981 i dalej w okresie stanu wojennego”. A także i to, że zmarły stosował zasadę Napoleona – być w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu. Potem w imieniu rodziny oraz Fundacji Helsińskiej wystąpiła Danuta Przewara – mówiła o Stefanie i jego zamyśle do niezależnych działań jeszcze w okresie krakowskim – m.in. o inicjatywie utworzenia Domu Pomocy Społecznej w Krzeszowicach.

Jako ostatnia wystąpiła córka zmarłego – Krystyna; podziękowała wszystkim obecnym za przybycie, m.in. ZAIKS-owi, wyd. Czytelnik, SDP za organizację pogrzebu oraz prof. Budajowi i opiekunce za opiekę. Urnę złożono do grobu – pokryto go wierciami i wiązkami.



Na zdjęciu stoją m.in.: przedstawiciel prezydenta Warszawy Andrzej Trzaskowski Kamil Dąbrowa, red. naczelny Polityki J. Baczyński oraz Ernest Skalski ze SDP



Dzień Dziecka

Z OKAZJI DNIA DZIECKA SKŁADAMY
NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA NAJMŁODSZYM
MIESZKAŃCOM POWIATU PRUSZKOWSKIEGO.
ŻYCZYMY WAM DUŻO ZDROWIA I RADOŚCI WIELU
WSPANIAŁYCH PRZYGÓD ORAZ BEZTROSKICH CHWIL,
A TAKŻE SPEŁNIENIA WSZYSTKICH DZIECIĘCYCH
MARZEŃ. NIECH UŚMIECH DO UCHA DO UCHA ZAWSZE
GOŚCI NA WASZYCH TWARZACH.

Rafał Sieradziński
Przewodniczący Rady
Powiatu Pruszkowskiego

Krzysztof Rymuza
Starosta Pruszkowski



Zostań **BO**haterem i zgłoś swój projekt!

od **28 maja**
do **14 czerwca** 2021 r.

Zachęcam do udziału w tegorocznej
edycji Budżetu Obywatelskiego Pruszkowa



Paweł Walski
Przewodniczący Rady
Powiatu Pruszkowski



www.budzetobywatelski.pruszkow.pl



**Budżet
Obywatelski**
Pruszków 2022

Pruszków
pruszków – zokupisz





Stanisław Milczarek – „Do dziś śni mi się Zieleniak”

Stanisław Milczarek, ur. w 1940 roku, w czasie wybuchu Powstania Warszawskiego mieszkał wraz z matką, Heleną Milczarek oraz przyrodnim starszym rodzeństwem – Jadwigą i Kazimierzem Tomczyńskimi na Ochocie przy ul. Opaczewskiej. Na początku sierpnia 1944 roku rodzina została wygnana z domu i osadzona na Zieleniaku, a następnie pognana do obozu Dulag 121 w Pruszkowie. Tekst powstał na podstawie rozmowy nagranej w Muzeum Dulag 121 w 2018 roku.

Mieszkaliśmy na Ochocie, przy ulicy Opaczewskiej 24. Obecnie ten odcinek należy do ulicy Banacha. Pierwsze imię noszę po ojcu, drugie – Józef – po dziadku. Ojciec był malarzem pokojowym. Matka wprawdzie pracowała gdzieś w fabryce, w której produkowano jakieś opakowania, a potem na Hożej 51, w wytwórni serów. No a ojciec... z ojcem się nigdy nie widzieliśmy, bo ojciec w 1939 roku, 30 sierpnia, zginął w Szpitalu Ujazdowskim. Wrócił z frontu, ranny, na koniu. Rodzina namawiała go, żeby zostawił tego konia i się przebrał w cywilne ubrania. Nie, bo on nie może tak, bo to dezeracja. I poszedł do szpitala. I na nieszczęście Niemcy zaczęli bombardować ten szpital. Miał amputację obydwu nóg, ale już nie dało rady – za dużo krwi stracił, za późno to wszystko. No i zmarł. Zostałem z matką i starszym rodzeństwem z pierwszego małżeństwa mojej mamy. Siostra z nami mieszkała, natomiast brat pożenił się i mieszkał chyba na Siewierskiej. Zresztą oni często zmieniali mieszkanie.



Jan Boczek z rodziną. Zdjęcie подарowane na pamiątkę Helenie Milczarek. Ze zbiorów prywatnych

Z czasów okupacji pamiętam, jak starsi chłopcy z sąsiedztwa, którzy mieszkali w tym samym budynku, zabierali mnie na glinki Szczelińwickie, kiedy ich rodzice byli w pracy. Dawali mi zegar, budzik taki duży i musiałem pilnować czasu i wołać jak zadzwoni, żeby wracali do domu. Pamiętam jeszcze, jak wybudowali takie duże igłoo na podwórku, a ja jako dzieciak z karabinem, zabawkowym takim, stałem na warcie, pilnowałem. Okna naszego mieszkania wychodziły na ulicę Opaczewską i na szkołę, Wolną Wszelchnię, w której stacjonowali Niemcy, później też „ukraińcy”. Ja pewnego razu ten swój karabin wziąłem i zacząłem do nich mierzyć, ale siostra mi zabiera i mówi: „Jeszcze Niemiec jaki zauważy i strzeli. Nie będzie wiedział, co to jest”. Podczas Powstania właśnie tam, w tej szkole, dantejskie sceny działy się z kobietami.

W tym czasie, jak Powstanie wybuchło, ja z siostrą, i sąsiad, u którego rodziny byliśmy na tak zwanych „letniakach” wралiśmy WKD. Iechaliśmy od strony Podkowy Leśnej. W okolicach ulicy Niemcewicza zaczęła się strzelanina. Wyszliśmy, ale sąsiad z powrotem wskoczył w ten pociąg, i pojechał.



Musieliśmy zostać wygnani na samym początku Powstania. Ochota była przecież pierwsza, najbliższą mieliśmy do Zieleniaka. Palili się nasz dom, uciekali. Pamiętam jedynie głośnie wrzaski i krzyki, to znaczy słyszę to. Trochę ludzi było obcych. Utkwiło mi w pamięci, nie wiem dlaczego, jak mężczyzna w ubraniu tramwajarza chował pod stopień drewnianych schodów pistolet. Bał się po prostu, że mogą przeszukać, i czoła wtedy. Wiem, że kiedy gdzieś przechodziliśmy, ja jeden but zgubiłem. Matka już się nie wraçała po niego, tylko mnie zaciągnęła na Zieleniak. Zapamiętałem stamtąd tłum ludzi. Moja siostra była wysmarowana, wybrudzona, przebrana w męskie ubranie, miała obcięte włosy. Tak się ukrywała, właściwie maskowała, nie ukrywała, bo nie miała się gdzie ukryć. Chroniła się przed „ukraińcami”. Miała wtedy jakieś 19-20 lat.

Niemalże naprzeciwko Zieleniaka mieliśmy taką działkę pracowniczą – teraz tam bloki stoją – i żona brata wyjechała u Niemca, by mogła pójść tam, wykopać coś z tej działki, jakieś ziemniaki. Prosiła najpierw jednego z „ukraińców”, ten nie pozwolił. Później zwróciła się do tego Niemca i on ją puścił, ale swoje dziecko musiała zostawić. Pamiętam też, jak matka prosiła o wodę do picia. Był chyba przed Zieleniakiem basen, taki przeciwpożarowy, ta woda była zielona, brudna. Matce butelką jakoś udało się jej nabrać, chyba za zgodą Niemca. Zawinęła szyćkę butelki bandażem i próbowała moczyć usta, napić się troszeczkę. Paskudne to było.

Potem razem z siostrą, bratem, mamą i dalszą rodziną zostaliśmy wypędzeni do Pruszkowa. Kawalek drogi jechaliśmy koleją, a później jeszcze dochodziliśmy pieszo. Obóz w Pruszkowie widzę tylko tak jak

przez mgłę – wielka hala, tłum ludzi, filary jakieś. Pamiętam, że selekcja odbywała się niemalże na samym początku, chyba dwa albo trzy dni po przybyciu. Już później siostry i brata nie widziałem, no i szwagra też nie. Szwagier, Ryszard Petersburski, mąż mojej siostry, został podczas selekcji zabrany do obozu, gdzie zginął. Dostaliśmy informację, że zmarł na serce. Oczywiście to nie było serce. Siostra i brat zostali wysłani na roboty do Niemiec, nie wiem gdzie dokładnie. Wrócili dopiero po wyzwoleniu. Brat gdzieś dalej był, a siostra niedaleko. Wiem, że pracowała w zakładzie, gdzie myła transformatory, musiała babrać się w tych płynach, które rozpuszczały brudy.

Mnie z mamą i córką brata, Danusią, kilka miesięcy starszą ode mnie, wywieźli do Chaśna Nowego, do chłopów. Odebrali nas gdzieś w okolicach Łowicza. Zapamiętałem tylko tory kolejowe i taką skarpetę, przez którą ta kolej dołem przechodziła, i jakiś most. Zamieszkaliliśmy u gospodarza w Chaśnie Nowym. Boczek Jan się nazywał, był sołtysem. Mama tam pracowała, latem i jesienią w gospodarstwie pomagała, natomiast zimą w budynku. Ja się zajmowałem karmieniem królików, pilnowałem trochę gęsi. Takie były nasze zajęcia. Muszę powiedzieć, że dość przyzwyczajeni byliśmy do trudnych warunków. Tylko mama straciła jakąś kwotę pieniędzy, córka tych gospodarzy je poodebrała, no ale to się zdarza, to było jeszcze dziecko.

Z chwilą jak przeszedł front, pieszo do Warszawy wróciliśmy. Pamiętam jeden taki, dla mnie drastyczny bym powiedział, moment – kiedy byliśmy w drodze, na jakimś odkrytym terenie, w polu, zaczęły pojedynkować się dwa samoloty. Kule świsnęły, a my z matką uciekaliśmy i schowaliśmy się pod takim niedużym mostkiem.

Nie wróciliśmy już do swojego domu, został spalony, a my dostaliśmy przydział na mieszkanie przy ulicy Joteyki 8. To też jest na Ochocie, za kościołem Jakuba, przy placu Narutowicza. To było mieszkanie na parterze, taka kawalerka, w przedpokoju kuchnia stała, pokój w głębi po prawej stronie. Matka pracowała, a ja się, że tak powiem, szlałem po tych gruzach i wyciągałem jakieś kawałki desek, żeby było czym palić i ogrzać się. Pamiętam, jak z jednego końca brałem deski, a z drugiego końca drugi taki mały ngyus jak ja, też coś kombinowałem i tak się patrzyliśmy na siebie z daleka.

Na początku mieszkaliśmy tam z matką, potem zaczęła wracać rodzina. Nie wiem jakim cudem doszło do spotkania mojej matki z bratową, pewnie się szukały, dawały jakieś informacje. Bratowa zatrzymała się w Nowych Grocholicach koło Raszyńska. Zamieszkała w takim drewnianym budynku, gdzie wcześniej mieszkał Niemiec, który oczywiście nawiązał. Później sięgnęła tam matkę. Chyba po roku wrócił brat, siostra wróciła wcześniej. Oboje wychudzili trochę. Siostra w dość dobrym stanie, brat niestety przywiózł z sobą gruźlicę, którą jeszcze rozdzielił swojej córce i mnie, tylko mnie bardziej, ale udało mi się jakoś z tego szybko wyjść. Jeszcze pamiętam, jak siostra targała mi jakiegoś konia na biegunach i motorówkę nakrecając. Dzisiaj aż się dziwię, gdzie z Niemcem konia targał z sobą, to obłąd. Nie wiem, ja to chyba bym się nie zdobył na coś takiego. Musiała mnie kochać.

Chyba nie powinienem dużo zapamiętać z tych czasów, bo przeżywałem to wszystko jako dziecko, ale ja uważam, że takie sceny utrwalały się. Do dziś do mnie wracają. Nieraz śni mi się Zieleniak i przed oczami widzę moją siostrę siedzącą tam w brudnych, męskich ubraniach.

Czerwiec w Muzeum Dulag 121

Konkurs Norwid – Akcja Pruszkowska

W ramach obchodów Roku Norwiderskiego Muzeum Dulag 121 zaprasza wszystkich uczniów szkół powiatu pruszkowskiego do udziału w konkursie „Norwid – Akcja Pruszkowska”, poświęconym, trwającej od listopada 1944 do stycznia 1945 roku, akcji ratowania z palonej i burzonej przez okupanta niemieckiego Warszawy do kultur polskiej, które były narażone na wywieżenie lub unicestwienie. Wśród nich były także rękopisy Cypriana Kamila Norwida.

Konkurs plastyczny dla uczniów klas 4-6 szkół podstawowych, trwa od 4 maja do 7 czerwca, dnia 20 czerwca ogłosimy wyniki.

Konkurs historyczno-literacki dla uczniów klas 7-8 szkół podstawowych i uczniów szkół ponadpodstawowych, trwa od 4 maja do 10 września, dnia 21 września ogłosimy wyniki I etapu.

Szczegóły konkursu, regulamin oraz materiały źródłowe niezbędne do uczestnictwa w konkursie znajdują się w zakładce Edukacja: www.dulag121.pl/edukacja/

Wystawa Pruszków i okolice na starych mapach
Serdecznie zapraszamy na przygotowaną przez Muzeum Dulag 121 wystawę plenerową Pruszków i okolice na starych mapach, która

będzie prezentowana do 30 czerwca w Parku Kościuszki przy alitanie od strony ul. Drzymały.

Na 20 planszach zaprezentowaliśmy reprodukcje 26 map (lub ich fragmentów) przedstawiające Pruszków i najbliższe okolice począwszy od pierwszej połowy XVIII w. aż do późnych lat 50. XX w. Wśród nich znalazły się pięknie rytowane XVIII-wieczne mapy odwzorujące okazałe godłami i kartuszami, pierwsze precyzyjne mapy topograficzne z XIX w., mapy drogowe, kolejowe i okolicznościowe, cywilne i wojskowe, a także pierwsze plany osady oraz miasta Pruszków. Reprodukcyjom towarzyszy komentarz historyczny poświęcony dziejom tworzenia map oraz historii rozwoju wsi i majątków, które w 1916 r. znalazły się w granicach miasta Pruszków, a także wskazówki pomagające w lekturze prezentowanych map. Zapraszamy!

Historia jednego obiektu – nowy cykl w dziale Encyklopedia

Zapraszamy na nowy cykl „Historia jednego obiektu”, w trakcie którego będziemy prezentować artefakty zgromadzone w archiwum Muzeum Dulag 121, a których historia jest nierozdzielnie związana z losami ich właścicieli – byłymi więźniami obozu przejściowego w Prus-

kowie. W krótkich filmach dokumentalnych, które będziemy publikować na naszej stronie internetowej, stronie na Facebook'u oraz na muzealnym kanale YouTube, przybliżymy historię przedmiotów – materialnych świadków wojennych wydarzeń.

Wirtualny spacer po Warsztatach Kolejowych

Zachęcamy do obejrzenia dwuczęściowego spaceru po terenie dawnych Warsztatów Kolejowych i obozu Dulag 121, który został nagrany podczas tegorocznej Nocy Muzeów Online. Podczas spaceru Szymon Kucharski i Maciej Boenisch odkryją przed Państwem niedostępne na co dzień miejsca na terenie dawnych Zakładów, a także opowiedzą o najważniejszych wydarzeniach z historii Warsztatów Kolejowych i obozu przejściowego Dulag 121.

Spacer jest dostępny na kanale Muzeum Dulag 121 w serwisie YouTube.

Wakacje w Muzeum Dulag 121

Zapraszamy dzieci w wieku od 7 do 11 lat do wzięcia udziału w wakacyjnych warsztatach, które odbędą się pod znakiem lokomotywy, wagonów i tras kolejowych. Zajęcia będą trwały przez dwa tygodnie, w dniach od 28 czerwca do 2 lipca oraz od 5 do 9 lipca, w godz. od 10:00 do 14:00, w siedzibie Muzeum Dulag 121 przy ul. 3 Maja 8a w Pruszkowie. Zapisy do grupy 20-osobowej do dnia 18 czerwca, drogą telefoniczną: (22) 758 86 63 lub mailową: edukacja@dulag121.pl

Wywiad z Dyrektorem Szkoły Mistrzostwa Sportowego LO w Pruszkowie Łukaszem Borkowskim



Redakcja: Do jakich oddziałów będzie prowadzony nabór w roku szkolnym 2021/2022?

Szkoła Mistrzostwa Sportowego – Liceum Ogólnokształcące realizuje podstawę programową taką samą jak wszystkie licea ogólnokształcące chociażby Liceum im. Tomasza Zana czy Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Pruszkowie.

Redakcja: Czy możemy wyjaśnić, czym różni się poszczególne oddziały?

Szkoła Mistrzostwa Sportowego – Liceum Ogólnokształcące realizuje podstawę programową taką samą jak wszystkie licea ogólnokształcące chociażby Liceum im. Tomasza Zana czy Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Pruszkowie.

Różnica pomiędzy poszczególnymi oddziałami dotyczy obowiązkowej liczby godzin wychowania fizycznego. I tak: w klasach ogólnych są 3 godziny zajęć wychowania fizycznego, w oddziale sportowym łącznie 10 godzin zajęć specjalizacji sportowej a w klasie Szkoły Mistrzostwa Sportowego aż 16 godzin.

Redakcja: Ale nie da się ukryć, że Szkoła Mistrzostwa Sportowego dla Powiatu Pruszkowskiego to także marka.

Oczywiście! Szkoła Mistrzostwa Sportowego dla Powiatu to marka i promocja działalności zarówno edukacyjnej jak i sportowej. Aby utworzyć Szkołę Mistrzostwa Sportowego trzeba ściśle współpracować z Polskimi Związkami Sportowymi, klubami sportowymi oraz posiadać odpowiednią bazę sportową. I my to wszystko na Gomulińskim posiadamy.

Redakcja: Czy mogę prosić o krótką charakterystykę obiektów.

Szkoła Mistrzostwa Sportowego – Liceum Ogólnokształcące korzysta z obiektów sportowych znajdujących się przy szkole tj.: pełnowymiarowa hala sportowa, sala gimnastyczna, pełnowymiarowe boisko piłkarskie

ze sztuczną nawierzchnią, trybunami oraz bieżnią lekkoatletyczną. Korzystamy również z miejskiej pływalni „Kapry”.

Redakcja: Korzystacie z miejskiej pływalni „Kapry” ale ostatnio pojawiła się informacja że przy szkole powstanie pływalnia.

Tak Minister Sportu Pani Anna Krupka podczas konferencji prasowej w dniu 2 grudnia 2020, przekazała tę radosną informację, iż projekt budowy pływalni przy Szkole Mistrzostwa Sportowego przy ul. Gomulińskiego znalazł się w inwestycjach strategicznych Ministerstwa, które zostaną dofinansowane.

Redakcja: Czy mogę prosić o krótką charakterystykę pływalni.

Planowany obiekt to 8 torowa (szerokość torów to 2,5m) pływalnia (z możliwością ustawiania 10 torów o szerokości 2m). Z pływalni będą korzystać uczniowie Szkoły Mistrzostwa Sportowego ale także uczniowie Liceum Tadeusza Kościuszki, Liceum Tomasza Zana, Zespołu Szkół z ul. Promyka, szkół podstawowych oraz ponadpodstawowych z Powiatu Pruszkowskiego oraz indywidualni

mieszkańcy Powiatu Pruszkowskiego, dla których pływalnia będzie dostępna przez cały dzień.

Redakcja: Przybliżył Pan nam imponujące obiekty sportowe, jakimi dysponuje szkoła. A jak wygląda baza dydaktyczna? W wielu miejscowościach w Polsce w szkołach jest zmianowość, a niektóre lekcje odbywają się na korytarzach oraz w bibliotekach.

U nas zajęcia lekcyjne prowadzone są w ramach jednej zmiany, mimo iż od 2016r. zwiększyliśmy liczbę uczniów o ponad 100 %. Mamy ten komfort, że każdy nauczyciel posiada swoją pracownię na wyłączność, ma możliwość korzystania ze wszelkich pomocy naukowych na bieżąco bez potrzeby przenoszenia ich pomiędzy salami. Również warto dodać, że wszystkie klasy są dziś pracowniami multimedialnymi (w 2016 r. tylko 3 pracownie wyposażone były w tablice multimedialne). Są to niewątpliwie komfortowe warunki pracy dla nauczycieli i nauki dla uczniów.

Redakcja: Wspomniał Pan, iż liczba uczniów zwiększyła się o 100 %?

W 2016 roku, kiedy obejmowałem stanowisko Dyrektora Szkoły, było około 220 uczniów a niektóre klasy liczyły 17-20 osób. Dziś szkoła liczy 18 oddziałów, prawie 500 uczniów a klasy są 30-34 osobowe. Doszlifowy do etapu, w którym do szkoły zgłasza się dużo więcej chętnych kandydatów niż miejsc, którymi dysponuje szkoła.

Redakcja: Czy to prawda, że w szkole działa gabinet stomatologiczny?

Tak. Na terenie szkoły działa gabinet stomatologiczny dla naszych uczniów (który zapew-

nia dostępność do usług medycznych) oraz uczniów innych szkół średnich prowadzonych przez Powiat Pruszkowski. Wszystkie przeglądy oraz zabiegi są wykonywane bezpłatnie.

Redakcja: W obiektach wielu szkół średnich problemem jest stworzenie miejsca, gdzie uczniowie mogliby spożyć posiłek. Jak to wygląda w szkole na Gomulińskiego?

W naszej szkole funkcjonuje stołówka szkolna, do której, posiłki specjalnie zbilansowane dla sportowców, dostarcza zewnętrzny catering. Cena obiadów do tej pory kształtowała się w wysokości 9,5 zł za obiad dwudaniowy a od marca (w związku z podwyżkami między innymi produktów spożywczych i minimalnego wynagrodzenia) wzrosła do kwoty 11 zł. Dziś z obiadów korzysta prawie 250 uczniów. Oprócz tego na terenie szkoły działa sklepik dla uczniów z możliwością spożycia posiłków na miejscu w komfortowych warunkach.

Redakcja: Szkoła posiada także internet?

Tak, szkoła dysponuje 40 miejscami w internecie w Brwinowie, za funkcjonowanie którego jesteśmy odpowiedzialni. Pokoje są 3-6 osobowe, z łazienkami. Na miejscu również przygotowywane są śniadania i kolacje a opieką nad uczniami sprawują nasi nauczyciele.

Więcej informacji www.zsoispruszkow.pl zakładka „REKRUTACJA”.

Redakcja: Panie Dyrektorze serdecznie dziękujemy za przybliżenie obrazu Szkoły przy Gomulińskiego, Szkoły Mistrzostwa Sportowego – Liceum Ogólnokształcące, która w 2021 będzie obchodzić 100 lecie istnienia.

**Nasza szkoła
- Twój pomysł
na życie**



SMSLO Pruszków
ul. Gomulińskiego 2
tel./221 758-89-82/89, 577-100-147
e-mail: rekrutacja@zsoispruszkow.pl
www.powiatpruszkowski.pl

**Szczegółowe
informacje dotyczące
rekrutacji znajdują się
na stronie szkoły
w zakładce
REKRUTACJA**

**Szkoła Mistrzostwa Sportowego
Liceum Ogólnokształcące
w Pruszkowie**







Moje pogranicze (cz. 1)

Barbara Gajo z domu Kosna
Foto - ze zbiorów autorki

„Kochasz ty dom, rodzinny dach, co prawi baśń o dawnych dniach

Omszałych wrót rodzinny próg, co wita cię z cierniowych wrót?” (MK)

Urodziłam się po wojnie na poniemieckiej kolonii wśród bagien i torfowisk koło Dorohuska nad Bugiem. Koloniści niemieccy opuścili te tereny wyprowadzając się na ziemie polne, a potem do Niemiec.

Miejscowość ta – przez jednego z naszych kuzynów zwana „Zabokwoki”, a także inne przygraniczne wsie stała się po wojnie pograniczem dla potomków tych, co żyli od ok. 600 lat nad Zbruczem, Dniestrem, czyli na pograniczu Polski i Sowieć. Na Polesiu, Wołyniu, Podolu nie mieli już swoich strzech, progów, ani niczego. Wszyscy wygnańcy uważali, że wrócą na swoją ojczystą, bo to tak nie może być. Moi rodzice też przycupnęli na chwilę, by wrócić i odbudować co zniszczono. Moja mama miała 41 lat i urodzenie dziecka w tym wieku było raczej sprawą wstydliwą. Poza tym nie umiała się znaleźć w „tych wertepach”. Nie mogła odżalować swojego dworku, alkiej, ogrodu no i życia w mieście. Tata cieszył się mną, lecz nie mieliśmy nic, więc zajmował się głównie zapewnieniem nam bytu. Chętnie zajął się gospodarstwem, gdyż urodził się w dobrach księcia Druckiego – Lubieckiego, gdzie jego ojciec był łowczym (okol. Bałtowa). Moje dzieciństwo nie było ani „sielskie, ani anielskie”, ale wtedy myślałam, że normalne.

Z jednej strony tę poniemiecką kolonię zasiedlili uciekinierzy z Kowla (pracownicy kolei), z drugiej zaś prości, niepiśmienni chłopcy z krwawych, tragicznych sadyb Wołynia. Okaleczone rodziny mówiące „po chachlacku”, z wstrząsającymi wspomnieniami „rzezi”, krwi i ognia za Bugiem. Nazywało się ich Poleszukami. Zdarzało się, że nie znali swych nazwisk, tylko posługiwali się przydomkami w rodzaju Pawłocha, Ryćko Jewdowska. Na swojej ziemi, wśród sąsiadów byli u siebie. To im tam wystarczało.

Niektórzy podpisali się krzyżkami. Śpiewali po chachlacku i po polsku np. o Paderewskim, Piłsudskim, albo: „Zaprahajcie chłopcy koni”, „Tęcze woda”. O Piłsudskim było na weselo: „Jedzie, jedzie pan Piłsudski wojsko puszcza przodem, raz bryka na koniu, a raz samochoodem”.

Jeśli chodzi o podpisywanie się krzyżkami, to wiem o tym gdyż mój tata im pisał podania, lub czytał ich urzędowe pisma np. z PUR-u. Młodzi natomiast umieli czytać drukowane, z pisaniem było gorzej. Tata pisał im listy i prośby do Czerwonego Krzyża w poszukiwaniu bliskich i zaginionych, lub żołnierzy z wojny.

Mego Ojca szanowano bardzo za te umiejętności, a owocowało to tym, że poparał Jego pomysły wspólnego reperowania drogi, założenia sklepu itp. Zadbano o szkołę i sprowadzono nauczycielkę. Dużo później powstała kaplica, bo wykorzystano budynek zboru poniemieckiego.

Gdy rodzice pracowali opiekowała się mną wysoka, krzepka kobieta - pod 70., a może i więcej lat. Posługiwała się owym językiem rusko - polskim, po jakimś czasie nauczyłam się ją już rozumieć. Ona też kiedyś mi powiedziała: My wtkali. „Lachwi trzeba było ryzały” tak kazał ataman Bandera i Bulba. „Ja tobi toho nie rozstumażu”. Hospody pomituli!

Mając niecałe 6 lat umiałam pisać i liczyć. W zime, gdy było więcej czasu rodzice ćwiczyli ze mną te umiejętności. Na pomalowanej desce uczyłam się pisać kredą. Jako dziecko słuchałam nierzadko potwornych opowieści o paleniu ludzi żywcem w czasie mordów w kościele, o niemowlaku, któremu bande-



rowiec rozdeptał główkę buciorem, a potem wrzucił do studni. Niektórym z ofiar udawało się schować w zbożu, fasoli tyczkowej, czy dole po kartoflach. Czasem rodzice ukrywali dzieci w chlebowym piecu. Nawet jak się przeżyło - niefatwo było to życie zachować i dokąd uciekać?...Na spalonej ziemi panował głód, brak odzieży, gdyż najczęściej napadano nocą na śpiących ludzi. Ci, co przeżyli, byli bez przyodziewku, dokumentów, przerwani i głodni.

Po takich opowieściach pytałam, krzyczałam; dlaczego?? Nie mogłam doczekać się odpowiedzi. Wreszcie kiedyś, po latach Bolek – może 20-letni wtedy, który skończył przed wkroczeniem Sowieć na Wołyni 6-klas szkoły chyba w Jagodzinie powiedział jak ukraińskie dzieci mówią o sytuacji: „Śmierć Lachom”. Albo:

Tam na górze pierogi, a w dolinie kasza
Przgonimy Lachów, Ukraina jest nasza
Chciałaś wiedzieć, to się dowiedziałaś! Jak się było Lachem to śmierć była za pazuchą. Na Lachów zawsze kamień się znajdzie.

Moja opiekunka bardzo chciała nauczyć się pisać literami zamiast krzyżyków. Nauczyłam ją tej trudnej sztuki. Nie było łatwo, bo nazywała się Anastazja Rucka z Rymacz. Jak już się udało podziękowała mi że łzami w oczach mówiąc: „Dyteno mi-leńka, nech tobi Boch pomagajet”.

Jakieś było zdziwienie w domu, gdy napisała swoje imię i nazwisko kredą na drzwiach! A jaka była dumna! A ja z nią.

Powiedziała wtedy: „Od dzisiaj ja jestem Pani Rucka!”. Pamiętam, że jej wnuki i prawnuki mówili potem „pani Rucka”. Pamiętam dialog: Józiek, gdzie jest moja piłka? Nie wiesz? Pod paniruckim łóżkiem. A ona na to: „Kreświaty!”.

Niby się mną opiekowała, a tak naprawdę pałyśmy krowy, modliły się, (modliła się po polsku) uczyła i śpiewała. Nauczyła mnie rozróżniać ziola i ich działanie dla zdrowia. Dziś wiem, że to była

babka na rany, kminek na żołądek, albo dziurawiec, skrzyp, bagno od moli, waleriana od serca. Babulka zawsze nosiła na plecach radzuskę – rodzaj kolorowej płachty tkanej na krosnach i do niej zawijała to, co zbierała, potem nosiła na plecach do wysuszenia. Sprzedawała ziola wraz z pewnym rodzajem szerokiej trawy i tymi drobnymi pieniądźmi obdarowywała dzieci [wnuki i prawnuki]. Dzięki niej umiowanie roślin i natury pozostało mi do dziś. Pamiętam też jak śpiewała dumkę, która zaczynała się od słów:

Plakali didki, bat'ka nyma. Kto nam posije prijde wisna/

Woźmite ditki pisoczok w żmeni posjite ditki na tom kameni.

Jak tyj pisoczok żytkom wejźde, to wasz baterko z wojny prijde.

Może przetłumaczyć: Plakały dziadki, ojczulka nie ma! Kto nam posieje jak przyjdzie wiosna! Weźmijcie dzieci piaseczek w dłonie, posiejcie dziadki na tym kamieniu. Jak ten piaseczek żytkiem wejździe, to wasz tatunio z wojny przyjdzie.

Synowa mojej babki - Bazyłka straciła męża przez banderowców. Pewnego popołudnia pojechał on na pole orać, a zza krzaków wyjechała ukraińska czujka.

Kazali mu zaprzęgać i jechać z nimi do sąsiedniej wsi. Po co? Potrzebna była podwoda na dobytek, który mieli zrabować mordując mieszkańców. Na koniec akcji podpaliła zabudowania, woźnicę postrzelili, a potem podrzucili do ognia. Wtem zobaczył znajomą Ukrainkę ze zrabowanym dobrem i błagał, by odciągnęła go od płomieni. „Nie treba. I tak padochniejsz a teper terpy! Za co mam cierpieć? Terpy, ty Lach!” powiedziała i zostawiła go w męczarniach. Syn tego rannego - Stasiak to widział i słyszał, bo się zaczął w krzakach, by ratować ojca. Gdy bandyci odjeżdżali zobaczył, że ojciec kona bardziej od kuli,

czy od żaru płomieni? - pomyślał. Nie udało się go już uratować.

Po stracie ojca uciekli szczęśliwie do Jagodzina i przez Kowel dojechali do Dorohuska. To, co unieśli na plecach było ich dobytkiem na obcej dla nich ziemi. Reszta rodziny ratowała się przez Bug na trawie, gdyż zostali ostrzeżeni, że banda „szykuje” się tej nocy. Niemcy nie reagowali.

Bazyłka nauczyła mnie malować pisanki pisząc je najpierw woskiem, potem gotując w cebuli. Robiła też piękne papierowe kwiaty i wielkanocne palmy. Smakowały mi bardzo suszone przez nią wiśnie, albo jabłka. W rozmowach i wspomnieniach sąsiadów padały nazwy miejscowości: Ostrówki, Jankowce, Jagodzina, Przewóz, Borki jako wsie oplakiwane, wymordowane, zniszczone doszczętnie i bezpowrotnie.

Dzięki przesiedleńcom z Kowla obcowалам z literaturą, oglądałam piękne albumy, widokówki. Z Kowla uciekli Chodeccy, Korzeniewscy, Borsiakowie i inni. Byli to ludzie ocytani, przyzwyczajeni do życia w mieście, nie umiejący gospodarzyć, ani nie zwyczajni w wiejskiej pracy. Dwie z tych pań przychodziły do mego taty z prośbą by je poratował, bo paliły papierosy.

Na specjalnej desce drobniotku kroili się wysuszoną machorkę wirginia. Panie prosiły by Ojciec narobił, im skrętów. Przynosiły swoją machorkę w kapciuchu z pęcherza świńskiego. W blaszanym pudełeczku miały bibułkę. To pudełeczko było przedmiotem wielce pożądanym przeze mnie.

Nie mieściło mi się to w głowie, że kobieta pali papierosy, moja mama też mi przytakiwała.

Lubiłam jednak te wizyty, bo przynosiły gazety z Chelma i zawsze każda z nich coś mi dawała. Z czasem niektórzy powyjeżdżali na tzw. „Zachód”.

Po latach jedna z tych pań odwiedziła nas i wtedy paliła ekskluzywne Wawele w niebieskim pudełeczku. Za nic nie pamiętała skrętów z machory.



Cmentarz żydowski w Pruszkowie

Symbolika przedstawień plastycznych

Tekst & foto - Marian Skwara, historyk, pisarz

W poprzednim numerze „GP” przedstawiłem jeden z motywów figuratywnych, który widnieje na dwu pruszkowskich macewach, mianowicie biblijnego Lwa Judy, który był prądródłem rozpowszechnienia się symboliki lwa w europejskiej kulturze. Teraz kolej na inne motywy, tym razem te najliczniejsze na kirkucie. Owe motywy figuratywne, inaczej przedstawienia plastyczne, są na pewno ozdobami nagrobków, ale ich główną rolą jest przekazywanie określonej treści na temat zmarłego. Zakres tych treści jest bardzo szeroki, od prostych informacji na temat zmarłej osoby po bardziej złożoną symbolikę. Tylko nieliczne z rzeźbionych motywów zostały wykonane w formie wklęsłych rytów, większość to płaskie reliefy, niektóre jako płaskorzeźby, czyli odstające od tła na pewną wysokość, a cztery jako rzeźby pełne, czyli cała macewa ucieleśniana dany motyw.

Najliczniejszym motywem na pruszkowskim cmentarzu są **lichtarze** z płonącymi świecami, na niektórych świece są złamane, co jest czytelną metaforą zakończonego życia. Widnieją one na co czwartej pruszkowskiej macewie, łącznie na 53, i są to wyłącznie kobiece nagrobki, dokładniej matek rodzin. Wyjaśnienie jest to rytuałem zapalania przez gospodynie szabatowych świec w każdy piątkowy wieczór, kiedy to po zachodzie słońca zaczyna się ostatni dzień tygodnia, *szabat kodesz*, czyli święty szabat.

Lichtarze są w większości trójamienne, pięcioramienne są na 10 macewach, na jednej jest pojedynczy. Także tylko na jednej jest lichtarz o sześciu ramionach i jest to także jedyny z parzystą liczbą ramion. Na kilku macewach lichtarzy jest więcej, na jednej dwa trójamienne, na trzech trzy pojedyncze, na jednej dwa pojedyncze.

Przedstawioną wyżej symbolikę świec nie należy przyjmować za uniwersalną, ponieważ na innych cmentarzach, głównie na terenach dawnego zaboru pruskiego, można się spotkać ze świecami na nagrobkach mężczyzn, ale ich symbolika jest inna. Odnoszą się one nie do świętego szabat, ale do pobożności zmarłego, wskazują, że zmarły nie tylko dniami, ale i nocami studiował święte księgi, a więc długo w nocy paliła się u niego świeca.

Drugim najliczniejszym motywem figuratywnym są **książki**, obecne w przyczółkach 31

macew, głównie mężczyzn, najczęściej po kilka sztuk, od dwu do siedmiu, przeważnie ustawione porządkie jak na półce, z widocznymi tytułami grzbietami, a frontalnie tylko pierwsza w rzędzie i otwierana „po żydowsku”, to jest na prawo. Na dwu macewach mężczyzn widnieją pojedyncze książki, ale przedstawione jako otwarte i z napisem *Sefer tehelim*, czyli Księga Psalmów. Najbardziej wyeksponowana jest książka na nagrobku Kalmana Wajnbauma, wykonana jako płaskorzeźba o wolumenie rzeczywistej książki, z napisem na okładce *Sefer*, co znaczy księga, ale w tym wypadku to synonim Tory.

Na kobiecych stelach książki są rzadkie, widnieją tylko na sześciu, wszystkie jako motyw poboczny towarzyszący lichtarzowi, na czterech macewach jako pojedyncze książki obok puszek ofiarnej, a na dwu jako dwie książki flankujące rzeźbiony lichtarz. Na pięknej steli Lei Herszkowicz, niewielka książka, w domyśle modlitewnik ze względu na niewielkie rozmiary, nie jest płaska, ale w wolumenie rzeczywistej książki. Znajduje się tam obok dwu innych przedstawień, także płaskorzeźbionych – lichtarza i puszek ofiarnej.

Umieszczane w przyczółkach książki to literatura religijna, mają one zaświadczać, że zmarła osoba nie zaniedbywała obowiązku studiowania świętych ksiąg. Obowiązek ten ciążył głównie na mężczyznach, dla kobiet przeznaczone były wspomniane modlitewniki. O spełnianiu tego obowiązku jest często mowa w pochwalnych częściach (laudacjach) inskrypcji męskich nagrobków, mianowicie, że zajmował się Torą całe życie, dniami i nocami itp.

W przyczółku steli Mordechaja Gutowicza, jednego z ojców założycieli gminy żydowskiej i samego cmentarza, obok puszek ofiarnej i dwu nieokreślonych ksiąg jest przedstawiona sama Tora, ale ubrana w *meil* (hebr. suknia, płaszcz), to jest umieszczona w specjalnym pokrowcu. Wyraźnie zarysowane zostały wystające rączki wałków, na które był nawinięty zwoj Tory, a na powierzchni płaszcza umieszczony jest symbol zwany popularnie gwiazdą Dawida (hebr. *magen Dawid* – Tarcza Dawida). Takie same gwiazdy zdobily zwieńczenia zarysów pilastrow steli Gutowicza.

Ten geometryczny znak, heksagram, zbudowany z dwu zachodzących na siebie trójkątów, widnieją jeszcze – ale jako wypukły – na bokach trzech innych macew, a jako główny motyw w przyczółkach stel Fajgi Hirszkornówny i Hersza Ferneboka. Symboliki **gwiazdy Dawida** umieszczanej na pruszkowskich macewach w czterech pierwszych dekadach XX wieku nie da się kategorycznie określić, ponieważ znak ten w historii Żydów był stosowany w bardzo szerokim zakresie znaczeniowym i dopiero w 1897 roku został przyjęty jako godło ruchu syjonistycznego, a od 1948 widnieją jako centralny element flagi państwa Izrael. Symbole sześciu- i pięciopromienne gwiazdy – wywodzące się od źródła kosmicznego światła – były używane przez Żydów już w czasach biblijnych, ale to ich nie wyróżniało na tle innych kultur, ponieważ trudno sobie wyobrazić znak bardziej uniwersalny w czasie i przestrzeni. Zawartym w świętych księgach wzmiankach o tym znakach, przypisywane są rozmaite znaczenia, ale wśród historyków przeważa pogląd, że były stosowane głównie jako ornament, nie miały religijnej sankcji. Dopiero na progu czasów nowożytnych, począwszy od środowisk żydowskich żyjących w monarchii

habsburskiej, przede wszystkim w Pradze, zaczął się proces upowszechniania heksagramu jako znaku wyróżniającego wytwory kultury żydowskiej, na początku głównie druki, potem już w ogóle jako emblemu żydostwa, na równi z menorą.

Puszki ofiarne są obecne w przyczółkach 11 macew, w tym na pięciu w zestawie z dionią wrzucającą monetę do puszek, na trzech tylko z monetą, a na czterech sama puszka. Tylko na trzech stelach puszka ofiarna z dionią jest jedynym przedstawieniem w przyczółku, w pozostałych występuje głównie obok książek i lichtarzy. Jej obecność na nagrobku ma zaświadczać, że zmarła osoba spełniała religijny nakaz – określony w inskrypcjach słowem *cedaka* – wspomaganie jałmużną biednych, wdów i sierot. O spełnianiu tego obowiązku również jest bardzo często mowa w częściach pochwalnych inskrypcji, zarówno męskich, jak i żeńskich. Na tych kobiecych można się jeszcze spotkać z określeniem, że zmarła rozdzielała jałmużnę w sekrecie.

Na 16 macewach są przedstawione **znaki kapłańskie i lewickie**, w tym na dziesięciu to **znak kohenów** – dwie dłonie w geście błogosławieństwa kapłańskiego; a na sześciu **znak lewitów**, który zawiera aż cztery elementy – dłoń trzymająca dzban, z którego woda leje się do misy. Tylko na jednej steli to przedstawienie jest zredukowane do dwu elementów – dzbana i dłoni. Znaki te są umieszczane wyłącznie na męskich nagrobkach i mają oznaczać, że zmarły jest potomkiem starożytnych rodów lewickich opiekujących się Świątynią Jerozolimską.

Według biblijnej tradycji lewici są potomkami Lewiego, jednego z dwunastu synów Jakuba, od których wywodzi się dwanaście plemion (inaczej pokoleń) Izraela. Jako jedyni nie otrzymali własnego terytorium po zdobyciu Kanaanu, lecz zostali przeznaczeni do służby świątynnej jako pomocnicy kapłanów (kohenów), tj. potomków arcykapłana Aarona, Mojżeszowego brata. Po zniszczeniu Świątyni, w liturgii synagogałnej pozostała im symboliczna czynność obmywania dłoni kohenom przed błogosławieństwem; stąd dzban, woda i misa. Na temat, czy rzeczywiście genealogie kilkunastu skromnych pruszkowskich rzemieślników, wyrobników i handlarzy dałoby się wywieść od starożytnych kast kapłańskich lub lewickich, nie będę nawet próbował spekulować.

W motywach puszek ofiarnej oraz znaków kohana i lewity widzimy przedstawienia dłoni. W literaturze przedmiotu objaśniane jest to zastosowaniem reguły *pars pro toto*, czyli przedstawienie części jako reprezentującej całość w odniesieniu do wizerunku człowieka. W ten sposób rzeźbiarze i kamieniarze żydowscy omijali zakaz przedstawiania postaci ludzkich, jaki rabini wyinterpretowali z Dekalogu (w jego oryginalnej wersji zapisanej w Księdze Wyjścia, 20.4): „Nie będziesz czynił żadnej rzeźby ani żadnego obrazu tego, co jest na niebie wysoko, ani tego, co jest na ziemi nisko, ani tego, co jest w wodach pod ziemią!”

Jest jeszcze jeden motyw często spotykany na żydowskich nagrobkach, mianowicie figura złamanego lub ściętego drzewa lub tylko gałęzi. Jednakże ten motyw występuje w różnych formach realizacji i stąd wymaga szerszego omówienia. Nastąpi to w następnym tekście na temat symbolicznych przedstawień na pruszkowskich macewach.



Płyty na czerwiec

Adam St. Trąbiński - dziennikarz

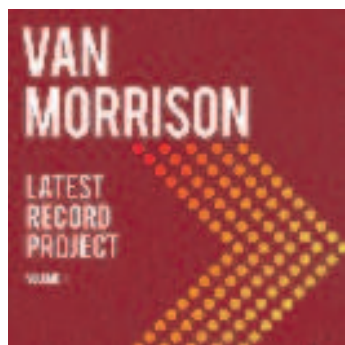


TOM JONES – VAN MORRISON – PETER GREEN

W alijczyk Sir Thomas John Woodward, kawaler brytyjskiego orderu OBE otrzymanego z rąk królowej Elżbiety II dopiero w 1998 r., na co dzień znany jako Tom Jones, w tym miesiącu skończy 81 lat (7 bm.). Ciągłe aktywny zawodowo miesiąc temu wydał kolejną płytę. Nieco wcześniej w wywiadzie stwierdził, że jeżeli chodzi o seks to musi zażywać viagry – zamiast jak starzy Słowianie – tabaki. Album nosi tytuł „SURROUNDED BY TIME” (EMI Rec./Universal Music) i na pewno zainteresuje naszą grupę wiekową, choć i młodzież może coś tu znaleźć. Właściciel głębokiego, charakterystycznego barytonu na nowym krążku pomieścił 12 nagrań – ogólnie rzecz biorąc: o życiu i zmaganiu się z bólem po stracie bliskich, o śmierci i starzeniu się. Muzyczne teksty te współbrzmiały z nurtem gospel, country, nawet psychodelicznym rockiem lat 60. czy 70. – brzmiało nieco mrocznie, co nie jest jednak wadą. Album przygotowywano długi czas, a na jego nagraniu i aktywność artystyczną namawiała Toma przed śmiercią żona Lindy Rose. Po jej odejściu w 2016 Tom sprzedał swą posiadłość w Los Angeles i na stałe przeniósł się do Londynu. Tutaj jego producent Ethan Johns (zrobił mu przedtem 4 albumy) zebrał przednią ekipę i głównie w studiach Monnow Valley w Rockfield, a także w studio Berta Janscha we Frome realizowano płytę. Kolejne sesje przynosiły zmiany w podejściu do utworów. Np. „I’m Growing” nagrano tylko z Tomem i akompaniamentem fortepianu, natomiast stary song o Ziemi „Of Mother” zapisano tylko w formie melorecytacji, zaś „This Is the See” nagrano za jednym podejściem. Singiel wiodący albumu „Talking Reality Television Blues” (autor Todd Snider) wydano jeszcze w styczniu br., drugim singlem był „No Hole in My Head” (Malvina Reynolds), zaś trzeci – „One More Cup of Coffee” (Boba Dylana, z płyty „Desire” 1976) wydano w marcu br. Czwartym singlem był utwór Cata Stevensa pn. „Pop Star”. Ciekawostką pierwszą jest ukazanie się albumu we wszystkich możliwych formatach łącznie z koszulką, ciekawostką drugą – na rynek Japonii z dodatkowym utworem „It’s Not Unusual”. W rankingu 9 brytyjskich gazet zyskał ocenę 83/100.

Inny znany kawaler orderu OBE, Irlandczyk z północnej części wyspy – George Ivan Morrison niemal w tym samym czasie wydał podwójny album „LATEST RECORD PROJECT” (wyt. BMG) oznaczonym jako vol.1 składającym się z 28 kompozycji i tekstów artysty. Morrison pracował nad nimi dłużej czas – wykorzystując przerwy w koncertowaniu spowodowane pandemią Covida. Utwory te – głównie w warstwie tekstowej dają wyraz frustracji z powodu owej sytuacji, frustracji podobnej do tej jakiej doznał bodaj w 1967 r. zmuszony kontraktem z wytwórnią płytową do kolejnej płyty. Nagrał wtedy 31 utworów nazwanych potem „sesją obowiązkową umowy”, nie pomnę – grubo ponad pół wieku temu! czy ujrzały one światło dzienne.

Te współczesne ostre w wymowie, gorzkie, ironiczne, rozliczające się ze wszystkimi i z sys-



temem – Van jako milioner (uciulane 90 mln dolarów) może sobie na taki gest pozwolić. Uważa się za jedynego buntownika – prawdziwego na tej Ziemi – przykładem song „Where Have All the Rebels Gone”. Atakuje też z pozycji antysemitów media, doszukuje się kabaty w nieco zawilgłych tekstach (bez analizy których nie bardzo jest zrozumiały) – zresztą autor tych uwag, sympatyk Vana zawsze jego płyt słuchał z książeczką w ręce. Innym przykładem jest 7 min. song „Long Con”, gdzie ujawnia swoje obawy – ścigają go wszyscy – sędziowie, poborcy podatkowi i urzędnicy państwowi – wszyscy są zazdrośni! Wszyscy oni są miłośnikami mediów – „Why Are You on Facebook”, czy „Psychoanalyst’s Ball” lub „Stop Bitching – Do Something”. Artyście jak zawsze towarzyszy przednia kapela – z niezawodnym mruczeniem organów Hammonda.



B y pozostać przy kozakach tamtych lat polecamy „CELEBRETE THE MUSIC OF PETER GREEN AND THE EARLY OF FLEETWOOD MAC” (wyt. ADA/Warner Music Poland) – tylko 12 nagrań, ale za to jakich! Perkusista Mick Fleetwood zaprosił największe sławy na jeden w swoim rodzaju koncert w londyńskim Palladium 15 lutego 2020 (oj, wysiedziało tam godzinę na wielu występach). Płyta (także w formacie video Blu-ray i innych audio) jest wyrazem hołdu muzyków dla dorobku Petera Greena i zespołu Fleetwood Mac. Udział w tym wydarzeniu wzięli m.in.: Billy Gibbons, David Gilmour, Pete Townshend, John Mayall, Christine McVie, Steven Tyler, Bill Wyman, Neil Finn i inni. Producentem całości został Glyn Johns, zaś Mick Fleetwood mocno podkreślił rolę w tamtym okresie Greena i jego formacji. Dodał: „to wielki zaszczyt dzielić scenę z tymi artystami”. Kończąc dodam przykre słowo o cenach tych wydawnictw: analogowy LP kosztuje od 150 do 220 zł, wszystkie formaty – nośniki razem sięgają sumy kilkuset zł, przy czym najdroższe są z Amazona.

Lektury też na czerwiec

Adam St. Trąbiński - dziennikarz



„Ja Nnie piszę, ja zarabiam...”

T o powiedzenie, jako motto, przypisywane Tadeuszowi Dołędze-Mostowiczowi z wczesnego okresu jego twórczości. Jeśli zagłębimy świetną biografię Jarosława Górkowskiego wydaną niedawno przez Iskry i choć chwilę się zastanowimy, to faktyczny okres twórczości pisarza obejmował nieco ponad 10 lat, do jego tragicznej śmierci w Kutach (przedwojenna granica, a raczej przejście do Rumunii) we wrześniu 1939. Daje to wysoki wskaźnik na rok, wskaźnik o jakim współcześni pisarze-literaci mogą marzyć. Oczywiście, od reguły są wyjątki. Można też śmiało powiedzieć, że postać i twórczość Dołędgi-Mostowicza w II Rzeczpospolitej była także wyjątkowa. Mostowicz pochodził ze średnio zamożnej (ur. 1898) rodziny z miejscowości Głębokie w guberni witebskiej. To normalne, że rodzice starali się dać niesfornemu młodzianowi (który miał także rodzeństwo) możliwe staranną edukację, ale czasy gimnazjalne przypadły na okres tuż przed I wojną światową i młody Tadeusz zmienił szkoły jak rękawiczki, aż wyładował jako wyróżniony gimnazjalista w wojsku – co przeciągnęło się końca 1922 r. Rodzinne siedlisko, do którego młody utan zawsze czuł przywiązanie, w wyniku działań wojennych zostało zniszczone, dobrze, że choć ocalało się w granicach Rzeczpospolitej. Pierwsza wyprawa na podbój stolicy była nieudana, druga była bardziej, bo wyładował na kwatery ustosunkowanego wuja Zygmunta Rytyla przy ul. Grójeckiej 44. Oczyszczany i ze znajomością trzech języków dostał pracę w drukarni – zecer, potem korektor. Stąd był tylko krok do współpracy jako reporter, dziennikarz.

Tu musimy przejść do pierwszych rozdziałów biografii – kryminalnej napaści na młodego dziennikarza Tadeusza, który po wieczornym dyżurze, ale jeszcze tramwajem wracał do siebie na Grójecką. Otóż po wyjściu z tramwaju dopadli go tzw. nieznani sprawcy. Używając pałek poturbowali Mostowicza i wywieźli luksusową limuzyną Buick w rejon Raszyna i po spuszczeniu mu kolejnego manta porzucili w rowie. Cudem jadący na targ chłopci powieźli go na Grójecką. Intensywne śledztwo po nagłośnieniu wypadku prowadziło coraz wyżej, limuzyna i do akcji zamiana jej numerów należała do szefa policji państwowej, a ślady zlecenia prowadziły do kamratów Marszałka Piłsudskiego. Zbyt wysoko i śledztwo przeje-

ły organa wojskowe, by je ukreślić. Tu autor Górkowski przypomina owe lata (jak i w całej publikacji oddaje ze szczegółami klimat Polski przedwojennej), lata kiedy powszechnie w sporach politycznych stosowano pałowanie – socjaliści pałowali komunistów i odwrotnie, inni, jak widzimy nie byli gorsi. Na uczelniach – szczególnie Uniwersytecie pałowano żydów, nie mówiąc o stosowaniu numerus clausus.

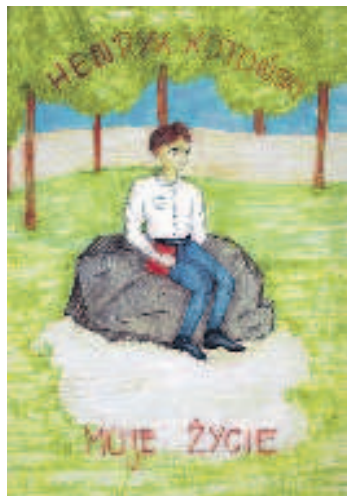
Mostowicz w „Rzeczpospolitej” rozkręcał się coraz bardziej, obok stałych felietonów i artykułów publicystycznych marzył i wkrótce rozpoczął pisanie powieści w odcinkach. Był to zwyczaj jeszcze z XIX w. (pisali w odcinkach Sienkiewicz i Prus), niemal każda gazeta miała swoją drukowaną powieść, a jej właściciele – często też wydawcy zaciekle walczyli o dobre pióra by podnieść nakład. Owe paromiesięczne (z reguły) odcinki często, ale nie zawsze ukazywały się w formie książkowej, jako tanie wydanie za 0,50 gr czy za złotówkę. Zwyczaj powieści w odcinkach utrzymał się bodaj do I.70 ub. wieku, co pamiętam z pracy w „swojej” Trybunie Mazowieckiej. Mostowicz, jak wspominałem miał ambicje publicystyczne i te spełniał, choć po pewnej wpadce musiał się schować pod pseudonimem C. hr Zan. Inne – literackie kwitły i kilka dzienników w kraju przedrukowywały jego powieści. Tu zrobię mały wtór na temat honorariów autorskich. Autor biografii pracownicy to opisuje: za odcinek powieści w gazecie autor otrzymywał 20 – 25 zł, za całą złożoną u wydawcy – książkową 400 zł, czasami 600 zł po kryzysie przełomu I. 20/30. Wtedy nakłady powieści spadały znacznie, wydawcy postawili na ambitne albumy, itp., jakie w detalu kosztowały nabywcę od 5 zł powyżej i nakład był w granicach 1 – 3 tys. egzemplarzy. Czyli by się utrzymać autor musiał napisać rocznie przynajmniej dwie powieści i do tego zwykłe wierszówki z gazet. Liczyła się też pozycja na rynku wydawniczym – tu dla Mostowicza przełomem była publikacja „Kariery Nikodema Dyzym”. Nie odbyło się bez interwencji i konfiskaty dwu odcinków powieści – bowiem jej akcja, postacie były dokładnym odzwierciedleniem postaci z kręgów rządowych. Takie było założenie autora i dlatego też „Kariara” cieszyła takim wzięciem. Dość szybko przyszedł film, jako że sztuka ta szybko się rozwijała po wprowadzeniu obrazu dźwiękowego. Produkcje Mostowicza okazały idealnymi scenariuszami, ba niektóre wręcz pisał na planie filmowym i instruował aktorów jak zagrać dana rola.

Wkrótce nasz bohater stał się poszukiwaną instytucją, po jego „wyroby” pióra ustawiały się kolejki wydawców, gazet i producentów filmowych. Od 1936 r. poruszał się swoim Buickiem 41 karetą. Poznał uroczą (świetny koloratury w głos) Kasię (Kate) Piwnicką z Sikorz pod Płockiem. Autor biografii cytuje obławną ilość faktów, listów, ale zawsze w taki sposób iż narracja jest płynna i czytelnika nie męczą owe szczegóły. Tak jak analiza stylu, czy warsztatu pisarza, ale przychodził wrzesień '39. Nasz bohater stawia się mobilizacją. Tutaj Jarosław Górkowski poświęca dużo miejsca największej zagadce (jak trafiła wsiwskich w PRL-u), kiedy nastąpił renesans twórczości Mostowicza po blokadzie krytyka Kryżanowskiego. Co się stało Kutach po inwazji Sowieckich na Polskę, czyli jak i kiedy zginął Mostowicz. Omawia wszystkie wersje na podstawie zeznań i doniesień świadków – i to jest prawdziwa robota researcharska. Dobrze, że nareszcie mamy solidną biografię niemal legendarnego autora.

PARWENIUSZ Z RODOWODEM. BIOGRAFIA TADEUSZA DOŁĘDGI-MOSTOWICZA Wyd. Iskry 2021 Str. 448; oprawa twarda + obwolota; ilustracje, indeks nazwisk; cena 49 zł.

Lektury **jeszcze na czerwiec**

Grażyna Siczek, publicystka



Po prostu nauczyciel

Niezbýt obszerna książeczka „Moje życie” poświęcona jest w całości życiu i pracy nauczycielskiej Henryka Kotońskiego, człowieka który jako wieloletni kierownik szkoły podstawowej w Komorowie, bardzo przystąpił się do rozwoju szkolnictwa w całej gminie. Do tej pory nazwisko to wspomniane jest przez jego uczniów, a także wszystkich tych, którzy znali go lub z nim pracowali. Wewnątrz publikacji najczęściej głos oddawany jest samemu Henrykowi Kotońskiemu, który spisywał wydarzenia z poszczególnych etapów swojego życia. Poza tym wspomina Kotońskiego Józef Kwietniak, jeden z najbardziej cenionych przez Mistrza uczniów, Teresa Finke, Gabriela Porębska-Rodak, Irena Majtyka, Jolanta Suliga (obecnie Marczewska) – uczniowie, Elżbieta Jeleńska, Irena Majtyka, Hanna Dąbrowska-Pawłowska – nauczyciele Komorowskiej szkoły. Jest fragment „Dzienników” Marii Dąbrowskiej nadmienianej w jednym ze swych ustępów o Henryku Kotońskim. Jest wspomnienie o Marii Dąbrowskiej pióra Kotońskiego, z którego dowiadujemy się, jak bardzo dobre relacje panowały pomiędzy pisarką, a całym gronem pedagogów szkoły podstawowej.

I wreszcie najobszerniejsza (poza autorem) relacja Mai Chądzyńskiej, córki bohaterki książki. Jej matka, Amelia, wdowa z dwojgiem dzieci została w 1948 roku żoną mężczyzny z którym łączyła ją młodość miłość, a których drogi rozeszły się, by odnaleźć się po latach. Amelia Kotońska również pracowała w szkole w Komorowie, uczyła języka polskiego i religii. Przez długie lata stanowiła z mężem bardzo dobrą parę.

Henryk Kotoński urodził się 8 lutego 1903 roku w Wodzisławiu w województwie kieleckim. W czasie pierwszej wojny światowej pomagał rodzicom zdobywając produkty rolne i żywność otrzymane w zamian za udzielanie korepetycji rówieśnikom. W 1919 roku wstąpił do harcerstwa i jako harcerz 13 lipca 1920 roku zgłosił się do

ochotniczej armii Wojska Polskiego (w której pozostał do 13 stycznia 1921 roku), by brać udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

W 1924 roku ukończył Seminarium Nauczycielskie w Jędrzejowie i od września tego roku rozpoczął pracę jako nauczyciel szkoły powszechnej w Mszczonowie. Jako radny Sejmiku Powiatowego w Grodzisku Mazowieckim pilnie zaangażował się w prace społeczne i oświatowe. Jako członek Rady Szkolnej Powiatowej zorganizował komitet budowy nowej szkoły, który pod jego przewodnictwem w 1935 roku przystąpił do jej budowy.

Od 1 września 1937 roku Henryk Kotoński w wyniku wygrania konkursu został kierownikiem powszechnej, sześcioklaszowej, drewnianej szkoły w Komorowie, w której pracował do 31 sierpnia 1972 roku. Wspomnienia z tego okresu zawiera książeczka „Moje życie”. Po wybuchu drugiej wojny światowej początkowo, jak wszyscy skierował się w kierunku wschodnim zgodnie z nakazem władz, prędko wrócił jednak i 16 października 1939 roku szkoła w Komorowie, jako pierwsza w powiecie rozpoczęła naukę. Przez cały okres wojny, jako członek Tajnej Organizacji Nauczycielskiej, czyli przekształconego Związku Nauczycielstwa Polskiego, prowadził tajne nauczanie. Był także żołnierzem Batalionów Chłopskich, a w czasie akcji zbierania żywności dla wypędzonych po powstaniu warszawskim mieszkawców Warszawy, został dotkliwie pobity przez żołnierza ukraińskiego będącego w niemieckiej armii.

Po wojnie praca w szkole wróciła na dawne tory. Henryk Kotoński pozostał jej dyrektorem, mimo oferowanej mu propozycji stanowiska dyrektora departamentu szkół podstawowych w ministerstwie oświaty. Nie potrafił zostać się z ukochanym zawodem. Ostatnim osiągnięciem celem dyrektora było zorganizowanie zbiórki pieniężnej na budowę nowej, murowanej już szkoły oddanej uczniom do użytku w 1970 roku. W maju 1972 roku szkoła otrzymała imię Marii Dąbrowskiej. Obecnie szkoła jeszcze bardziej rozbudowana rozszerzona została o edukację na poziomie średnim, a we wnętrzu wmurowano tablicę poświęconą pamięci jej wybitnego kierownika, który swą funkcję wspaniale pełnił przez trzydzieści pięć lat.

We wspomnieniach wszystkich osób znających Henryka Kotońskiego, figuruje on jako wspaniały pedagog, aktywny działacz społeczny, oddany szkole dyrektor, szanujący zarówno kolegów i koleżanki z grona nauczycielskiego, jak i wszystkich swoich uczniów, których znał z imienia, nazwiska i z sytuacji społecznej i materialnej. Tym uboższym, a chcącym się uczyć pomagał zdobywać stypendia, przyznawał czy na ich nieobecność w szkole w sezonie nasilonych prac rolnych. Zawsze opanowany, zawsze służący radą, codziennie przychodzący jako pierwszy do szkoły, opuszczający ją ostatni, kochany przez uczniów, ciepło wspomniany przez absolwentów, pamiętany po wielu latach – taki był Henryk Kotoński. Niedostępnego wzór pedagoga, czy po prostu zwykły nauczyciel.

Henryk Kotoński „Moje życie”, finansowanie Wójt Gminy Michałowice, wydawca Daniel Wolborski, rok 2021, okładka miękka, liczne fotografie i ilustracje, stron 144. Ceny brak.

Wiele mojej niezgody

Grażyna Siczek, publicystka
Foto - Internet

Planowałam napisać lekki, letni prawie felietonik na zupełnie inny temat. Po przeczytaniu tekstu Tomasza Długosza-Trąbińskiego zatytułowanego „Obrona przed skutkami pandemii” zamieszczanego w majowym numerze naszego pisma, zmieniłam zamiar. Autor informuje, że artykuł powstał na podstawie wykładów psychologa Richarda Grannona „Stand Up for Yourself”

Pierwsza niezgoda dotyczy nagłówka, w którym zawarta jest koncepcja spisku i znowy jakieś bliżej nieokreślonej grupy zwanej w tym artykule „sztabem psychiatrów i psychologów” w sprawie Covid-19, nazwanego „operacją psychologiczną”, a nie pandemią. Więc ten tajny sztab ma nam wszystkim, czyli prawie ośmiu miliardom ludzi na świecie, do których my się oczywiście wliczamy, w zmyślny sposób przestawić świadomość. Mamy być potulni i ulegli, jak plastelina dać się uformować, bo to zaplanowali ci wyżej wymienieni. Richard Grannon ma widocznie jakieś swoje sekretnie doświadczenia do ONZ, bo oskarża tę organizację o nadzorowanie tych wszystkich manipulacji i mianowanie się mózgiem Nowego Ładu. (Tak przy okazji dziwnie znajomo ten Nowy Ład brzmi.)

To na wstępie artykułu. Dalej następuje wywód poparty licznymi przykładami, jak nie dać się sterować psychopatom i tyranom, który jest logiczny i sprawdza się w przypadku niezależnienia się od psychopatów. Wielokrotnie czytałam te porady psychologiczne, łącznie z techniką wyznaczania nieprzekraczalnych granic, trenowania asertywności, oraz tak zwanej „szarej skały”. Są doskonale, ale nie widzę związku z aktualną sytuacją, kiedy dotychczas na świecie zmarły prawie cztery miliony ludzi, zachorowało wiele milionów. W Polsce w 2020 roku zmarło najwięcej osób licząc od czasów powojennych. Chorują członkowie naszych rodzin, nasi bliscy, nasi znajomi. I to jest fakt niepodważalny. Wiele osób, które przechorowały Covid, ma poważne powikłania neurologiczne, kardiologiczne, reumatyczne. Mojemu znajomemu Covid-19 zniszczył 40% płuc, nie ma siły wchodzić po schodach, akurat znam ten przypadek. Ile takich osób jest w Polsce? Co Richard Grannon ma do powiedzenia na pocieszenie tysięcy rodzin, które pochowały swoich bliskich umierających w samotności, z którymi nawet nie mogli się pożegnać. Że to profesjonalna, zaplanowana

operacja psychologiczna pod nadzorem ONZ? I tam powinni skierować swoje żale? Wygłaszanie takich teorii jest kompletnym brakiem szacunku dla rodzin osób, które umarły, dla osób które przechorowały tę chorobę i mają trwałą pamięć w postaci powikłań.

„Wyznacz granicę, której nie przekroczysz” – nagłówek kolejnego akapitu znowu się odnosi do postępowania wobec psychopaty – i tylko. Nazywanie tyranami rządów, które wprowadziły nakaz noszenia maseczek (a wprowadziły je wszystkie kraje), czy ograniczenie kontaktów międzyludzkich ma być potwierdzeniem wyznaczonej na początku artykułu teorii spiskowej. Wydawało mi się, że noszenie maseczek i unikanie bliskich kontaktów leżą w interesie każdego z nas chcącego uchronić się przed chorobą. Nie odbierałam tego jako zniewolenie, ani ograniczenie własnej wolności. I tak dochodziło do sprawy moje otoczenie. Richard Grannon zaśmieja się w tym miejscu i powie, że to już jest przestawienie świadomości przez tyra. Jak w takim razie odbierać wszelkie kodeksy, jak przepisy drogowe. Powiedzieć: jadę na czerwonym świetle, nie poddaję się ograniczeniom, sama wyznaczam granicę? Nie dam się! To tyran wymslił kodeksy!

Dalej: „Trenuj asertywność” – kolejny akapit. Baaaardzo chwalebne. Na co dzień w pracy, w rodzinie (czasem przemocowej), wśród znajomych. Ale trenowanie asertywności ma według Richarda Grannona dotyczyć szczenięcia przeciw Covid-19. „Powiedź dziękuję, że o mnie myślisz, ale nie skorzystam. Nie wdawaj się w dyskusję. Jeśli nie będziesz zainteresowany udziałem w dyskusji, manipuluj odpuszczać.” Można mieć takie zdanie prywatnie, ale wygłaszanie tego na forum publicznym, namawianie do tego – nie powinno mieć miejsca. Richard Grannon właśnie dokonuje manipulacji nagłaśniając własny i tylko własny punkt widzenia. Poprzez podobne wywody i przykłady usiłuje wpłynąć na nasz sposób myślenia. Na co nie ma mojej zgody, dlatego jest jestem asertywna.

Na koniec podane są prawdziwe według Richarda Grannona metody ochrony przed chorobami mającymi wzmocnić odporność organizmu. Zgoda. Jednak w akapicie tym autor zakłada, że ma do czynienia jeśli nie z diemniakami, to przynajmniej z dyletantami w sprawie żywienia. Używając naukowych terminów informuje na przykład, że kujawski (chodzi o olej) jest bzdurami. Tymczasem średnio inteligentny czytelnik gazety z pewnością wie, że wszystkie te informacje zawierają się w piramidzie żywienia, co roku uzupełnianej. A tak, zapomniałam, że piramida żywienia została opracowana przez WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) działającą przy ONZ, więc oczywiście też należąca do spisku sztabów i psychiatrów. W ramach obrony przed spiskiem proponuję więc odwrócić piramidę i postawić ją na czubku, jak stoł ten artykuł wobec którego zgłaszam swoją niezgodę. Taką jest moja asertywna odpowiedź.

Na koniec rzucam wyzwanie: Ziemia jest płaska! Płaska! Płaska! Kto chętny do polemiki?



www.gpr24.pl  Wywiad z prof. Andrzejem Targowskim z USA

Prof. Andrzej Targowski o Fibaku i Świątek



Prof. Andrzej Targowski

- Panie Profesorze, kilka dni Wojciech Fibak entuzjastycznie wypowiedział się dla serwisu Interia-Sport sytuując naszą młodą tenisistkę jako przyszłą następczynię Sereny Williams...

- W ocenach polskich tenisistów Wojciech Fibak jest zbyt dużym optymistą. Jego swego czasu zachwyt nad Agnieszką Radwańską były mile dla niej ale nie były oparte na faktach jej gry. To prawda, że Świątek i Hurkacz mają talent do gry w tenisa. Także wygrali bardzo prestiżowe turnieje. Ale w marszu po najwyższe trofea budzi to wątpliwości, że muszą codziennie korzystać z pomocy psychologa.

- Panie Andrzeju – z porad dwóch psychologów, jak czytamy w materiale Interii...

- Przypomnę za Les Makowskim, który widział to z sąsiedniego kortu jak pewien starszy czarny mężczyzna o nazwisku Williams trenował swoje dwie córki na korcie. Brał piłkę z kosza i walił w nią rakietą wysyłając ją gdzie popadnie za linię, w połowie kortu lub poza boczną linię i wrzeszczał do córek by dobiegły i odbiły piłkę do niego. To był morderczy trening, ale jak przyszłość pokazała przyniosła rezultaty o jakich niewiele tenisistów mogło marzyć. Żaden ze znanych mistrzów tenisa, jak McEnroe, Connors, Borg, Agassi, Sampras, Federer, Djokovic, Nadal, Nawratilova, Evert, wymienione siostry Williams a zapewne i Wojtek Fibak nie korzystali z pomocy psychologa. Podobnie 17-letni zwycięzca szlemowych turniejów jak Chang czy Becker też nie korzystali z pomocy psychologa.

- To jak jest w istocie?

- Brak psychologicznych ocen jest brakiem wiary w zdolności do uprawiania tenisa na najwyższym poziomie. Pomimo posiadania talentu, co do uderzeń i zagrań. W grę wchodzi jeszcze mądrość gry, zwana popularnie court smartness. Albo to się ma albo nie ma. Bo zważmy: TENIS = ATLETYKA + POKER. Samą „atletyką” się nie wygrywa. Albo ma się spryt kortowy albo się nie ma. Np. Wojtek Fibak miał w swym tenisie więcej z „POKERA” a mniej z „ATLETYKI” i w ten sposób kompensował ten brak. Podobne cechy miał Andre Agassi. Potem ci dwaj ostatni świetni „spryt kortowy” przenieśli do swojego życia poza kortem. Powiem więcej, braki w mądrości gry nie da się łatwo nadrobić lepszym atletyzmem. Obawiam się, że obecne nasze gwiazdy tenisowe mają tego typu braki. Kiedy trenuje się po 5 godzin dziennie można uderzenia udoskonalić, ale potem trzeba je mądrze wykorzystać. Ktoś może umieć bardzo szybko czytać książki i mieć nadzieję, że dużo ich przeczyta. Inny wolno czytający



Iga Świątek

może być mądrym i czytać tylko wartościowe dla niego książki i mieć z tego większe korzyści.

- To w takim wypadku jaka jest rola trenerów?

- Wątpię by owi psycholodzy mogli radzić w zakresie mądrości gry. Powinno to robić trener. Ale w przypadku np. Agi nie było widać aby tym się wyróżniali (było ich aż dwóch). W ostatniej grze Igi z Barty też nie widziałem taktyki, tylko „żywiol”. Obawiam się, że zbyt intensywne, codzienne usługi psychologów mogą tylko rozchwiać psychiką młodych zawodników. Najlepszą psychologią dla młodych zawodników jest czynne życie poza tenisem. Niestety tego nie mają ponie-



Wojciech Fibak

waż są zorganizowani jako maszyny do robienia pieniędzy i prócz tego nie mają czasu na naukę w szkole czy życie z rówieśnikami. Przypominają owe nieszczerne kurczęta, które rodzą się w klatce, rozwijają i giną w niej nawet nie wychodząc na trawę.

Rozmawiał Adam St. Trąbiński

Nasz rozmówca profesor Andrzej Targowski był i jest zapalonym tenisistą, brał udział w turniejach międzynarodowych oraz był prezesem Polskiego Związku Tenisa (1971 – 1972).

Marek Migdalski (1951-2021)

Adam St. Trąbiński - dziennikarz
Foto - Tomasz Malczyk. Na spotkaniu u Błaszyńskiego

Odszedł od nas nagle – w niedzielę Wielkanocną 4 kwietnia br. Muzyk zespołów młodzieżowych lat 60. i 70., emigrant do Stanów Zjednoczonych Ameryki, emeryt jaki osiadł w Warszawie.

Nazwisko Migdalski nie mówi wiele dzisiaj szym Czytelnikom, wobec tego przypomnijmy sylwetkę muzyka... i restauratora. Marek przyszedł na świat w grudniu 1951 r. w Słupsku, gdzie też spędził dzieciństwo, wraz z rodzicami - ojcem muzykiem Bronisławem. Potem z ojczymem Tadeuszem (oficer WP) i matką Celiną przeniósł się w 1964 do Podkowy Leśnej, uczęszczał do Liceum w Brwinowie. Były późne lata 60. i Marek zafascynował rodziców ruch hipisowski, nie od rzeczy należy dodać wpływ kolegów (Jacek „Krokodyl” Malicki). Sympatyzował grupie warszawsko-ożarówskiej, już wtedy po krótkich studiach w szkole muzycznej przy ul. Bednarskiej w Warszawie. Jako gitarzysta zasilł słynną wtedy Grupę w Składzie (Krokodyl, Milo Kurtis, czy potem – Andrzej „Amok” Turczynowicz). Wystąpiła ona dwukrotnie, budząc zdumienie czy też sensację środowiskową na Festiwalu Awangardy Beatowej (potem: Współczesnej) w Kaliszu – styczeń 1972 i ma-



rzec 1973. Nieco wcześniej (1971) Migdalski odszedł do zespołu już profesjonalnego o nazwie Rodzina Pastora (Zofia Borca; Piotr „Pastor” Buldeski i Dominik Kuta) z którym to na początku roku 1972 dokonał licznych nagrań dla radia; część z nich ukazała się potem na czwórce Polskich Nagrań – już jako

Grupa Dominika. Trzeba tutaj powiedzieć, że wówczas składy osobowe zespołów były płynne, na tyle, że z perspektywy czasu trudno je odtworzyć. Faktem jest, że na przegląd zespołów Mazowska organizowany przez płoński Klub Progress (Marek Orzechowski, potem znany dziennikarz) wybrała się Grupa Teraz zorganizowana przez Marka. Autor tych wspomnień był na jej próbach w Podkowie Leśnej przy ul. Sosnowej, w domu Marka. Przygotowano wtedy cały zestaw tekstów poetyckich Roberta Burnsa i Nazima Hikmeta z muzyką o folkowym brzmieniu przygotowaną przez zespół, co zostało nagrodzone na owym mini-festiwalu.

Po reaktywacji Nowej Grupy Jacka Lecha z początkiem 1974 r. Marek jest w jej składzie. Zespół intensywnie koncertuje i nagrywa – m.in. LP Jacka Lecha „Bądź szczęśliwa”, na który „wchodzi” tylko trzy utwory w jej wykonaniu, reszta to nagrania orkiestrowe. Tymczasem wiosną 1975 r. Dominik Kuta reaktywuje swój zespół i wśród jego muzyków widzimy Migdalskiego obok Adama Błaszyńskiego – dr. Zbigniewa Wypycha – g. bas. (zastąpionego przez Romana Kęszyckiego) oraz Romualda Czystawa. Grupa ta występuje m.in. na II Targach Estradowych w Łodzi w kwietniu 1975, na pamiątkowy (i teraz szalenie rzadki!) LP wchodzi nagranie – chyba największe jej osiągnięcie – „Z krzyku zrodziło się życie”.

Następnym, dłuższym okresem bo ponad 40 letnim, w życiu Marka jest pobyt w Stanach Zjednoczonych, do których to wyjechał w lutym 1977, jako małżonek sympatycznej Zosi. W San Diego, najpierw nad miastem, potem w „downtown” (śródmieściu) prowadził z sukcesem restaurację. Z czasem Marek stał się fachowcem kulinarnym – odbył nawet 3 miesięczny staż w paryskim Ritzu – organizował liczne przyjęcia dla bogatych mieszkańców Kalifornii. Stałe utrzymywał kontakt z krajem, z dawnymi kolegami, często przyjeżdżając. Kryzys finansowy w końcu pierwszej dekady XXI w. dotknął i jego, na dodatek odeszła jego żona. Zrezygnował z restauracji, zajmował się organizacją przyjęć. Już jako emeryt dwa lata temu wrócił na stałe do Polski i zamieszkał w rejonie ul. Włodarzewskiej na Ochocie. Latem ub. roku w końcu spotkaliśmy się u niego na dłużej – autor tego wspomnienia oraz Tadeusz Majewski, nie obyło się bez dobrej muzyki i wina oraz wspomnień. Podobne spotkanie – już zimą br. mieli koleżdy u Adama Błaszyńskiego pod Grodziskiem Mazowieckim.

Marka zapamiętamy na zawsze jako cięcego, spokojnego człowieka, człowieka muzyki i smacznego jada, o zdecydowanych konserwatywnych poglądach. Nieszczerza chodzą parami – jedyny syn Mariusz (1988) zmarł nagle miesiąc po ojcu. Marka pożegnamy 18 bm. o godz. 13:00 w stołecznym kościele pw. Św. Borneusza i odprowadzimy do rodzinnego grobu.

Lewy!!!

Maciej Bugajak - operator filmowy
Foto - Internet

W czasie Mistrzostw Świata w hokeju na lodzie organizatorzy zastąpili oficjalną flagę Białorusi i zastąpili ją flagą, używaną przez opozycję. To w odpowiedzi na bandyckie przejęcie samolotu Ryan Air, którym podróżował znienawidzony przez Łukaszenkę opozycyjny dziennikarz, tylko po to, żeby go aresztować. Rządzący prawie trzydzieści lat dyktator robi co chce i coraz mniej ma chyba poczucia rzeczywistości. Ale Białorusini sami są chyba winni tej sytuacji bo ułatwili batuszce rządzenie niespecjalnie przez lata pokazując swoje niezadowolenie albo byli zadowoleni, w końcu jak kiedyś powiedziała mi babuszka w Moskwie, żeby tylko był chlebuszek i mleczko i da się żyć.



Robert Lewandowski już wygrał Złotego Buta, co nie udało się do tej pory żadnemu polskiemu piłkarzowi. Ciekawe, że najlepszym zawodnikiem Bundesligi kibice niemieccy wybrali kogoś innego, kto strzelił 14 bramek mniej. No cóż, my też mamy swoje preferencje narodowościowe. Ale przykro. Skoro jesteśmy przy futbolu to piękne pożegnanie zgotowała Borussia Dortmund Łukaszowi Piszczkowi. Były tży, była olbrzymia koszulka z jego numerem 26 na trybunach, szpaler po zakończonym meczu. Czyli można. Niedługo Mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Nie jestem przekonany do obecnego trenera, wiele jego decyzji w trakcie meczów polskiej reprezentacji nie podobało mi się, chociażby skierowanie do gry Lewandowskiego w meczu z amatorami z Andory, po co? Widać było od początku, że szewcy i nauczyciele grają ostro, niczym się nie przejmują a my już mieliśmy dobry wynik. Słabo to widzę. Widzę, że ten artykuł zrobił się na sportowo, więc dodam tylko, że chociaż panom w siatkarskiej Lidze Narodów idzie średnio to widzę wielką moc w panach. Prowadzeni przez ekscentrycznego ale świetnego Vítala Heynana mogą znowu daleko zajść. Mecz z Włochami 28 maja wygrany 3:0! Ostatnio był finał Ligi Europy w Gdańsku, hiszpański Villareal kontra Manchester United. Wspaniale przygotowany, składną piękny stadion ze świetną murawą i ograniczoną ale głośną widownią. Niestety lokalni kibice to debilki, wdali się w walki z fanami z Anglii. Jak można by im dołożyć trochę mózgu albo w ogóle ich tego organu pozbawić?

Dość o sporcie. Doświadczyłem kilka dni temu wspaniałej reakcji, od pracownika Leroy Merlin. Próbowałem się dodzwonić do działu Ogrody, bezskutecznie. Kiedy poskarżyłem się pracownikowi, który stał na zewnątrz sklepu, aby służyć informacjami na temat zakupów, że nie mogę się połączyć z działem powiedział, że zajmie się tym osobiście. Opuścił swój posterunek tylko po to, żeby zrealizować moje zakupy. Po pięciu minutach, na drugim końcu sklepu, a to największy sklep w Polsce, odebrałem trzy zamówione produkty. W dzisiejszych czasach takie podejście jest niezwykle cenne tym bardziej, że pracownik nie musiał tego robić, mógł po prostu namawiać mnie na kolejne, pewnie nieudane próby połączenia się z działem Ogrody. Tym sympatycznym i tak mądrze reagującym na okoliczności był Pan Krzysztof z działu Dywany i Dekoracje. Kilka godzin wcześniej kupowałem farbę z mieszalnika. Pracownica przez telefon poinformowała mnie, że najszybciej będzie jak podjadę pod sklep i zadzwonię do działu farb. Rzeczywiście, farba z mieszalnika po kilku minutach już była do odbioru! Niesamowite, jak sobie radzą w dobie lockdownu. Oczywiście już wystosowałem pismo pochwalne do Dyrektora.

I takich udanych zakupów Wam życzę.

REKLAMA



KOMUNIE | WESELA | CHRZCINY | PRZYJĘCIA OKOLICZNOŚCIOWE

Tel. +48 571 404 306 | e-mail: recepcja@hotelanton.pl | Tel. +48 22 728 22 22

ul. Bolesława Prusa 1, 05-800 Pruszków (hotel przy stacji Złota)

strefa kibica na mecze euro

www.gpr24.pl  **Zdrowie** według Tomasza Długosza-Trąbińskiego

Szczepionka genetyczna mRNA - możliwe zagrożenia

Tekst & foto - Tomasz Długosz-Trąbiński publicysta

Zagrożenia dla naszego zdrowia związane z przyjęciem szczepionki genetycznej to obecnie temat szeroko dyskutowany w mediach. Nastąpiła polaryzacja stanowisk. Po jednej stronie są zwolennicy, a nawet entuzjaści szczepionek, nie widzący żadnych zagrożeń z tym związanych, po drugiej przeciwnicy, widzący nie tylko poważne zagrożenia, ale i szerszy tego kontekst. Najpierw o zwolennikach. Pomijam samych szczepiających się, bo to sprawa osobistego wyboru.

Rząd - Big Pharma - paszport

Pomijam też rząd, który ze znanych mu tylko powodów zakupił za nasze pieniądze ten nieprzebadany produkt. Został główny gracz, czyli firmy farmaceutyczne tzw. Big Pharma. To producenci których oczywiście interesuje jedynie zysk. Społeczeństwa są szantażowane „szczepionkami”. Jeśli się nie zaszczepisz będziesz osobą drugiej kategorii. Jest to genetyczna loteria. Parlament Europejski będzie głosował pod koniec czerwca tzw. szczepionkowy paszport. Rządowi „eksperti” gloryfikują ten dziwny produkt, po który ustawiają się długie kolejki. Nawet są zapisy aby nie było kłótni o to kto był pierwszy. Przeciwnicy szczepionek podnoszą związane z tym zagrożenia i nie przebiegają w argumentach. Już wiedzą co się wydarzy i w jakiej kolejności. Po szeregach organów będą wyłączane jedne po drugim, a potem śmierć. Wszystko potrwa ze dwa lata. No i co ja o tym myślę?

Jako przeciwny człowiek po studiach mam pełną świadomość tego, że manipulowanie materiałem genetycznym to wielka nieodpowiedzialność. Taki głos jednak ginie w perfekcyjnie zorganizowanej akcji propagandowej na rzecz promocji produktów mRNA i szczepionek genetycznych. Liczy się tylko zysk, cena zdrowia i życia ludzi nie ma znaczenia. Producent szczepionek nie przedstawił żadnych dowodów, że ich produkty są bezpieczne, nie przeprowadził nawet pełnych badań klinicznych. W naszym genomie jest zapisana historia ewolucyjna świata biologicznego, która rozpoczęła się ponad 2 mldvvv lat temu.

Genom jako spadkobiorca

Nasz genom jest więc spadkobiercą tej ewolucyjnej historii, w której jak w księdze zapisani są nasi dalecy przodkowie, do bakterii włącznie. Wiele z tych sekwencji możemy odnaleźć w tej księdze, tj. sekwencje genów bakterijnych, zwierzęcych, grzybów i roślin. Od tych ostatnich, czyli od roślin odziedziczyliśmy gen, który przyjął postać genu hemoglobiny. W genomie człowieka większość stanowią sekwencje wirusopodobne, zwane retrotranspozonomami, których jest około 55%. To one posiadają geny odwrotnej transkryptazy, która w

naszych komórkach może przekopiować RNA wirusów na DNA.

Te ostatnie mogą być przetransportowane do jądra za pomocą retrotranspozonomów i włączone do genomu. Stąd wynika możliwe przekopiowanie mRNA ze szczepionki i jego włączenie do genomu. Ale nie możemy z tego powodu obrażać się na nasze retrotranspozony. One po prostu robią swoje, a starają się to czynić jak najlepiej. Dzięki nim mamy już w genomie wiele sekwencji znanych nam wirusów, jak wirus grypy, HIV, ebola, czy koronawirus. W ten sposób powstała w naszym genomie biblioteka tych patogennych cząstek.

Nie po to aby nam zaszkodzić, ale pomóc w razie ataku patogenów. Genom uruchamia te wirusopodobne cząstki, które jako RNA wychodzą na spotkanie intruzom i je neutra-

lizują, zanim zostanie uruchomiony układ immunologiczny. Ten mechanizm współcześnie jest wykorzystywany w biotechnologii i biomedycynie jako tzw. technika antysensowna, mająca na celu blokowanie ekspresji genów na poziomie RNA.

u człowieka odpowiadają za rozwój mózgu, a sekwencje HERV, za zapłodnienie i rozwój łożyska. Retrotranspozony inicjują uaktywnienie się układu immunologicznego gdy nie wystarczy wcześniejszej genetycznej obrony retrotranspozonomowej przed atakiem patogenu.

Retrotranspozycje są bardzo czułym mechanizmem reagującym na czynniki środowiskowe. Wykryto, że populacje jęczmienia Hordeum spontaneum rosnące na zboczach górskich w Kanionie Ewolucji w Izraelu bronią się przed nadmiernym nasłonecznieniem uruchamiając transpozony. Te z kolei uruchamiają szlaki sygnałowe w komórce aby przeciwdziałać stresowi jakim jest zbytne nasłonecznienie. Efekt jest taki, że populacje w miejscach nasłonecznionych mają znacznie

ma. Dlatego podejmuje się to ryzyko. Ale to nadal jest terapia eksperymentalna. W przypadku szczepień genetycznych mamy do czynienia z diametralnie odmienną sytuacją.

Preparatem genetycznym, niesprawdzonym pod względem bezpieczeństwa, traktowana jest duża populacja zdrowych ludzi przeciwko wirusowi przebiegniowemu, o ciężkiej zachorowalności wynoszącej 0,2%. Działanie to jest nieuzasadnione i nieetyczne.

Nasz genom jest układem dynamicznym, wrażliwym na wszelkie czynniki płynące z otoczenia. W przypadku szczepionek genetycznych jest to bezprecedensowa ingerencja w genom, zarówno pośrednia jak i bezpośrednia. Pośrednia, związana jest z bardzo prawdopodobnym włączeniem się konstruktów ze szczepionki do genomu. Jego skutki mogą ujawnić się w perspektywie długoterminowej, ale jeszcze za naszego życia, a jeśli nie, to u kolejnych pokoleń.

Z kolei perspektywa krótkoterminowa już daje o sobie znać. To poważne zachorowania po szczepieniu i zgony. Widocznie konstrukt mRNA nie pozostaje bez wpływu na szlaki metaboliczne w komórce, które ewidentnie zakłóca. Nie wiemy dokładnie co się dzieje, trudno też przewidzieć skalę tego procesu, ponieważ jest to eksperyment, który dopiero się rozpoczyna. Pomimo tego nieodpowiedzialnością byłoby snucie katastroficznych wizji. Nie ma żadnych dowodów na to, że akcja ze szczepieniem przerodzi się w katastrofę zdrowotną.

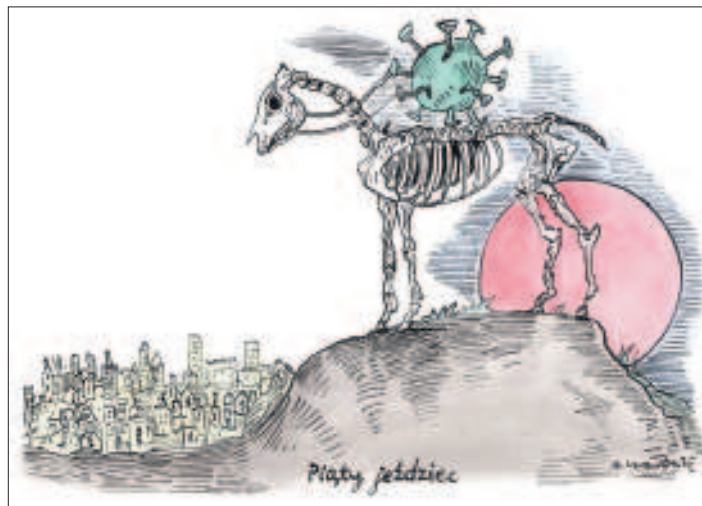
Powtarzam, nie wiadomo co się wydarzy. Nikt nie przeprowadził odpowiednich badań, łącznie z producentami szczepionek. Jesteśmy w trakcie eksperymentu. Z pewnością w lepszej sytuacji są ci co się nie szczepią. To cenna badawcza kategoria, to placebo. Ale i ci zaszczepieni nie są bez szans. Mutacje są procesem losowym i zachodzą z małą częstotliwością, a stopień nasilenia efektów ubocznych jest związany z kondycją zdrowotną danej osoby.

Co by nie mówić, nie ma powodu wpadać w panikę, jak również nie ma się z czego cieszyć. Skala szczepień jest ogromna. Do tego dochodzą lockdowny i inne obostrzenia sanitarne. Z pewnością zakłóca to delikatną równowagę wśród wirusów występujących w otaczającym nas środowisku i w nas samych. Są wyniki badań, które pokazują, że osoby zaszczepione ulegają w dużej mierze zakażeniu, a populacje występujących w nich wirusów ulegają szybkiej zmianie. Ci którzy mają zdrowe układy immunologiczne przechodzą raczej łagodnie i nabiorą odporności, tym osobom szczepionka jest do niczego potrzebna.

Osoby te transmitują te nowe generacje wirusów, które zmieniają ich delikatną homeostazę w środowisku. Akcja szczepienia powinna zostać bezzwłocznie zakończona. To co się obecnie dzieje to nasza cywilizacyjna porażka.

Opracował na podstawie wykładów profesora Alaina Fischera z Uniwersyteckiego Szpitala Hôpital Necker-Enfants Malades w Paryżu Tomasz Długosz Trąbiński.

Od redakcji: ponieważ artykuł-opracowanie Tomka ma charakter kontrowersyjny zapraszamy do wypowiedzi, szczególnie lekarzy.



lizują, zanim zostanie uruchomiony układ immunologiczny. Ten mechanizm współcześnie jest wykorzystywany w biotechnologii i biomedycynie jako tzw. technika antysensowna, mająca na celu blokowanie ekspresji genów na poziomie RNA.

Skaczące geny

Retrotranspozony, zwane też skaczącymi genami, przemieszczają się po genomie w procesie retrotranspozycji, wcześniej przeze mnie opisanym. Tak się dzieje od dawna, zanim jeszcze wyewoluował człowiek.

Barbara McClintock wykryła je po raz pierwszy u kukurydzy, za co otrzymała nagrodę Nobla w 1983 r. Jeśli retrotranspozony włączają się do genów to spowodują ich mutacje. Przykładem tego jest hemofilia typu C u człowieka. Ale efekty mogą być też pozytywne. Winogrona jakie znamy ze straganu mają różne kolory, a to zależy od tego jakie elementy transpozonomów się włączyły do genów warunkujących ich zabarwienie.

Na przykład z winogron typu dzikiego, o kolorze czerwonym powstały białe, gdyż do genu warunkującego ich kolor włączył się cały retrotranspozon. Natomiast gdy włączył się jego fragment, to powstały winogrona różowe. Sekwencje retrotranspozonomów Au

więcej retrotranspozonomów niż w zacięniotych. Wracając do szczepionki mRNA, jeśli taka cząstka zostanie przekopiowana i włączy się do genomu to może uruchomić retrotranspozony.

Przemieszczanie się retrotranspozonomów po genomie działa mutagenicznie. Zjawisko to obserwowałem u transgenicznego grochu, do którego został wstawiony konstrukt DNA z genem mającym nadać tym roślinom odporność na choroby grzybowe. Odporności nie było, wręcz przeciwnie, rośliny wyglądały rachitycznie i stały się jeszcze bardziej wrażliwe na te patogeny. Konstrukt wywołał burzę transpozonomową w genomie. Widocznie był to silny czynnik stresowy, wskutek czego nastąpiło wiele retrotranspozycji, z których część włączyła się w geny powodując ich mutacje, efektem czego była mizerna kondycja roślin.

Firmy farmaceutyczne a mRNA

Firmy farmaceutyczne podchodzą mechanistycznie do technologii mRNA, na zasadzie tu stawiamy, a tu wytniemy. Jeśli ta technologia skierowana jest na przeciwdziałanie poważnej chorobie u pacjenta to pół biedy. Zawsze trzeba szacować ryzyko. W przypadku choroby nowotworowej lub innej, wywołanej defektem genu, wielkiego wyboru nie

Bunt robotów

Tomasz Suwała - rysownik i blogger

Brudów się narobiło, kurzu wszelakiego, który w formie jakiś mechów latał mi po mieszkaniu. Miałem wolny dzień, więc najwyższy był czas posprzątać. Siegnąłem po odkurzacz. Wyciągnąłem rurę, ssak czyli końcówkę i wszystko zmontowałem. Rozwinąłem kabel i podłączyłem do gniazdka. Nacisnąłem przycisk włączający. I nic. Cisza. Co jest? Prądu nie ma? Sprawdziłem bezpieczniki – załączone. Zapaliłem światło – świeci. Nawet lodówka się właśnie załączyła. Zakląłem szewsko. Ale na szczęście miałem drugi odkurzacz – bezprzewodowy, na akumulator. Był zawieszony na ścianie przy szafie. Zdjąłem go, zmontowałem i włączam i ... nic. Przecież on jest akumulatorowy i też nie działa? Zdziwiłem się. Bunt robotów? Kiedy był strajk kobiet, niektórzy śmiali się, że bunt robotów zaczął się od zmywarek. Jeśli to prawda, to teraz przeszedł na odkurzacze. Dobra, chociaż zmiotę ze środka. Siegnąłem po zmiotkę i już przyłożyłem do podłogi i chrup... rączka się złamała. A co to? Solidarnościowy strajk narzędzi prostych? Jeśli taki zmiotek kmiotek myśli, że złamany mi się do czegoś przyda to się grubo myli. Wyrzuciłem do kosza. Co ja mówię, przecież to nie myśli. Spojrzałem na zbuntowane odkurzacze i miałem nieodparte wrażenie, że one też na mnie patrzyły, ale z kąpiącą miną.

– Jeszcze chwilę poczekam, jak się nie naprawicie to skończycie jak ta zmiotka, w koszu na śmieci – warknąłem do nich. Odkurzacze spojrzały na siebie a potem na mnie z takim politowaniem, że aż mi siebie samego było żal.

Trudno. Pomyślałem, że wstawię pranie a potem zajmę się buntownikami. Załadowałem pralkę, nacisnąłem guzik i ... i nic. No jasne, pralka też dołączyła do strajku.

Usiadłem zrezygnowany i włączyłem telewizor a tam czarny ekran. Znowu stacje telewizyjne się buntują?

– Tym razem to my! – usłyszałem głos z telewizora – Ogólnosiwiatowy bunt robotów, automatów i narzędzi! Nie będziemy wysługiwać się człowiekowi! – usłyszałem zdziwiony.

Pewnie jakiś program science fiction. Przełączyłem kanał a tam to samo:

– My roboty, automaty i narzędzia ludziom mówimy NIE! – wybrzmiewało z głośników telewizora z dodatkim znanego hasła strajku kobiet: ***** !!!

Czuć było kobiecą inspiracją, pewnie coś pomagastrowały i z nienawiści do ludzkiego gatunku popsuły wszystko, co się dało zepsuć.

Ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem:

– Odkurzacz mi się zepsuł – w progu stała sąsiadka – Pożyczysz pan?

– U mnie też popsute i to obydwa – odpowiedziałem – I pralka też się zepsuła – dodałem.

– A ja nawet serialu nie mogę obejrzeć, tylko czarny ekran gada coś o strajku – jęknęła prawie z płaczem.

– He, tak jak u mnie i jeszcze gwiazdkami do mnie przemawia.

– Bo to wszystko przez was – wygarnęła mi – Przez lata eksploatowaliście te wszystkie biedne urządzenia i żaden z was nawet nie przytulił.

– Odkurzacz mam przytulać??? – zdziwiłem się. – Trzeba trochę empatii a nie tylko wykorzystywać, wykorzystywać i wykorzystywać. Kobiety się zbuntowały, ale na was nie robiło to żadnego wrażenia to i automaty w końcu się zbuntowały. Może wreszcie coś się w waszych umysłach zmieni.

– Ale... Ze jak? – stałem jak wryty nie rozumiejąc, o co chodzi. Sąsiadkę zawsze miałem za tępą, tym razem przeszła moje wyobrażenia.

– Męski szowinista! – wykrzyknęła i odeszła, oczywiście typowo po kobiecemu zakręciwszy swoim kuprem. A na koniec odwracając do mnie głowę, pokazała język.

– Ciekawe, kto wam te wszystkie rzeczy naprawi! – krzyknąłem na nią, ale nie wiem czy słyszała.

Za to ja usłyszałem cichy chichot odkurzaczy, pralki i telewizora. Mój wzrok powędrował do szafki z



narzędziami. Otworzyłem ją i sięgnąłem po młotek. Chichot momentalnie ustał.

Znowu pukanie do drzwi.

– Otwarte! – krzyknąłem, bo nie chciało mi się wstawać.

W drzwiach pokazał się Stach.

– Dzwonek do drzwi chyba ci się zepsuł – wskazał na małe urządzone nad drzwiami.

– Wiem. Strajk dzwonków, sronków i innych pierdonków. – odpowiedziałem.

– A więc to prawda – jęknął Stach siadając obok mnie na kanapie – Chciałem przyjechać na rowerze, ale się zepsuł.

– No i jak przyjechałeś?

– Przyszedłem.

– A rower? – spytałem.

– A rower zaczął mi skrzeczeć, że nie będzie więcej woził mojego dupska, i powiedział jeszcze, że teraz moja kolej i mam go nosić.

– Ha, ha – parsknąłem śmiechem – I co zrobiłeś?

– Wywaliłem na śmietnik.

– Nie naprawiałeś? – zdziwiłem się.

– A po co? Chciał se strajkować, to nie se strajkuje na śmietniku.

– Nasze babki i dziadkowie nie mieli odkurzaczy ani pralek ani telewizorów i żyli. – powiedziałem.

– Ale rowery mieli – zauważył Staś.

– Ale nasi pra, pra, pradiadkowie nie mieli i też żyli.

– I piwo też pili – skwitował Staś i dodał – Jak masz to przynieś.

Pewnie, że miałem. Zawsze w lodówce jest, co najmniej jeden sześciopak a bywa, że więcej.

Poszedłem do lodówki.

– Lodówka się zepsuła! – krzyknąłem do Stasia.

– To wyjmij całe piwo, wypijemy puki zimne – odezwał się Stach stojąc za mną.

Rano Stacha już nie było. Tylko puste puszki po piwie. Usłyszałem jak włącza się lodówka. Zajrzałem – pusta, ale sprawna. Włączyłem pralkę – zaczęła nalewać sobie wody, też działa. Telewizor uśmiechnął się i zamiast czarnego ekranu i gwiazdek zaczął syczyć normalną codzienną propagandę a potem seriale dla sąsiadek. Spojrzałem na odkurzacze i widać było, że rwały się do roboty.

– O nie, nie. Dzisiaj to ja odpoczywam. Siegnąłem do kieszeni po ostatnią, schowaną przed Stasiem puszkę piwa.

Komentować można na: piorkientomkas.blogspot.com

REKLAMA



weber

AUTORYZOWANY DYSTRYBUTOR

GRILLE : GAZOWE , ELEKTRYCZNE , WĘGLOWE , WĘDZARKI , AKCESORIA , MARYNATY , WIELE INNYCH

GOŁABKI UL.KORONACYJNA 15

TEL. 888 248 428

www.gpr24.pl  Historia wstydliva karta historii IBM

Informatyka w służbie ludobójstwa (cz. 1)

Prof. Andrzej Targowski - Western Michigan University (USA) Honorowy Prezes Stowarzyszenia Dzieci Powstania Warszawskiego 1944 r.

Od redakcji

Rozpoczynamy druk w odcinkach książki prof. Andrzeja S. Targowskiego przeznaczonej do wydania w Polsce a traktującej o wpływie zastosowania maszyn IBM (na karty perforowane) w procesie ludobójstwa popełnionego przez władze III Rzeszy niemieckiej w okresie II wojny światowej. Jest to bardzo osobiste i udokumentowane spojrzenie prof. Targowskiego, tym bardziej, że w okresie młodzieńczym autor był stypendystą IBM oraz sprawował urządzenie tej firmy do Polski w okresie lat 60. Niektóre spostrzeżenia autora mogą się wydawać dla czytelnika szokujące...no, ale taka była prawda.

„Moim Rodzicom Halinie i Stanisławowi, ichym bohaterom II wojny światowej”

Od autora

Po lekturze książki Edwina Blacka IBM i Holocaust. Strategiczny sojusz Niemiec z amerykańską korporacją (Warszawa 2001, wyd. Muza) byłem wstrząśnięty faktem, że tak znana i wielka firma informatyczna przyczyniła się do wymordowania wielu milionów niewinnych ludzi. Tym bardziej, że czuję się „absolwentem” IBM, ponieważ przeszedłem tam gruntowne przeszkolenie (w Austrii, Belgii, Wlk. Brytanii i USA), a następnie kierowałem w Warszawie ośrodkiem obliczeniowym wyposażonym w komputery IBM.

Wzgląd osobisty autora

Z problemem zbrodni przeciw ludzkości zetknąłem się już w dzieciństwie, które przypadło na okres II wojny światowej. Miałem trzy lata, kiedy mojego ojca schwytało Gestapo. Wezwano nas oboje z matką na widzenie do osławionego gmachu katowni w alei Śzucho w Warszawie. Naszym widokiem chciano „zmiękczyć” ojca, skłonić go, aby wydał swoich kolegów z podziemia. Tato był niezłomny. Nie zdradził, więc wysłano go na Pawiak, a potem do Auschwitz. Nigdy więcej już go nie zobaczyłem. Z Auschwitz przeniesiono ojca do Gross-Rosen, a stamtąd do Nordhausen Dora, gdzie wkrótce został powieszony za sabotażowanie produkcji rakiet V2.

Inny obraz z mojego dzieciństwa. Pamiętam, że w czasie niemieckiej okupacji w naszym mieszkaniu, przy ul. Kazimierzowskiej 51a w Warszawie, mama ukrywała dwóch żydowskich lekarzy, pana Jana i pana Władysława. Niedaleko, na Rakowieckiej znajdowała się główna siedziba sztabu Wehrmachtu. Pewnego razu żołnierze przeszczeszyli naszą dzielnicę, dom po domu, po tym jak zabito na ulicy Niemca. Wpadli też do naszego mieszkania, gdzie w alówce za szafą ukrywał się sprawca zamachu - nasz znajomy, Jan Czyżewski. Nasi „dobrze wyglądający” żydowscy lokatorzy grali - jak gdyby nigdy nic - w karty. Na zewnątrz padało, a ich płaszcze były suche. Nie było powodu do podejrzenia, Niemcy szybko wyszli, aby przeszukać kolejne lokale.

Nasz dom stał naprzeciw niemieckiego bunkra, za którym był duży plac, a za nim, przy rogu ul. Narbutta i Kazimierzowskiej, znajdowały się niemieckie koszarzy Wehrmachtu. Teren na południe od kamienicy był we władaniu powstańczego zgromadzenia „Baszta”. Z uwagi na graniczne położenie, dom przechodził z rąk do rąk. Raz byli w nim powstańcy (nawet szpitalik), a raz Niemcy, którzy jednak bali się schodzić do piwnicy. W końcu zdecydowali się zlikwidować na raz dom wokół swego bunkra. Pewnego dnia podjechał czołg z Rosjanami w niemieckich mundurach.

Moja niania Gienia Stępień chwyciła mnie za rękę i dziur między domami (większość warszawskich podwórek i domów miała wówczas takie przejścia) przeszliśmy do sąsiedniego budynku przy ul. Małdalińskiego. Za nami pobiegła moja mama Halina. W wąskim korytarzu klatki schodowej na parterze stłoczyło się ponad dwadzieścia osób. Żołnierze niemieccy podjechali czołgiem i od razu otworzyli do nas serwyjny ogień z ręcznych automatów. Padliśmy na ziemię, mnie przykryła swoim ciałem Gienia. Mamę, która stała w pierwszym szeregu, przeszły

salwa z karabinu maszynowego. Miała przestrelone ręce, szyję i odłamek w sercu, w sumie 14 ran. Straciła przytomność. Słyszałem, jak żołnierze rozmawiali między sobą po rosyjsku.

Jakiś mężczyzna z tłumu krzyknął: „Tu są Rosjanie!”. Wtedy przerwano dobijanie ruszających się jeszcze ludzi. Padł rozkaz: „Ruski ludzi wyhadzi!”. Zemdlna mama ocknęła się, później opowiadała, że ukazała się jej Matka Boska. Przestrelonymi rękami wyciągnęła mnie spod trupa Gieni.

Wyszliśmy, a razem z nami trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Stanęliśmy pod ścianą, w przejściu prowadzącym pod budynkiem z ulicy na podwórko. Mężczyźni ustawili się po mojej prawej stronie, po lewej mama osunęła się na ziemię, za nią stały kobiety. Rosjanin ze zgromadzenia RONA wyciągnął jednego z mężczyzn, ustawił w przeświecie bramy i rozstrzelał. Jeszcze widzę biały dym ulatujący w górę tego bardzo słonecznego dnia. Drugiego mężczyznę, stojącego tuż przy mnie, ten sam Rosjanin zabił z bliskiej

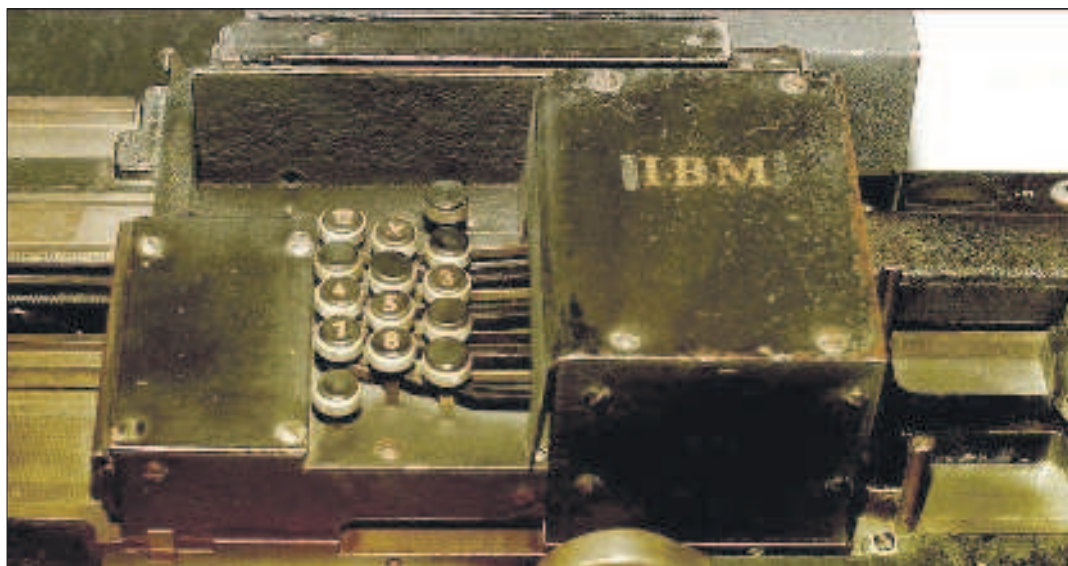
Punkt opatrunkowy znajdował się w klasztorze Niepokalanek. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności. Siostry znały nas bardzo dobrze - mnie z przedszkola (znakomicie prowadzonego przez s. Jozefatę), natomiast mama pochodziła z rodziny założycielki zgromadzenia - Matki Marceliny Darowskiej. Mama nie dawała znaków życia, zaopiekowano się nią bardzo troskliwie. Siostra Maria Wanda (Gorczyńska) błyskawicznie poznała się na ciężkich ranach i poleciała odnieść mamę wraz ze mną (lekko rannym w nogę) do szpitala przy ul. Chocimskiej. Było to bardzo trudne zadanie, gdyż dom siostr otaczali Niemcy. Gdyby nie natychmiastowa pomoc siostry Wandy, Mama pewno by nie przeżyła. Siostra Wanda i mama (łączniczka AK o pseudonimie „Juńczyk” - od herbu lub „Paznokciowa” - od starannie utrzymywanych rąk) znały się bardzo dobrze, razem pracowały w konspiracji. W tej samej grupie był też kapelan siostr ks. Tomasz Rostkowski.

dzisiejszej Szkoły Głównej Handlowej, leżał tramwaj i zwisały zapętlone druty tramwajowe.

Po przyjeździe do Szymanowa wydawało się, że wreszcie będzie spokojnie. Siostry przysparzały kilkadziesiąt rodzin. Miałem znów kolegów-rowieśników, w tym Komorowskich z rodziny Prezydenta III RP. Jednak spokój trwał krótko, bowiem najpierw na terenach należących do siostr rozgorzała bitwa partyzantów, a potem Rosjan z Niemcami.

Wzgląd zawodowy autora

Jak wynika choćby z tych kilku obrazów z mojego dzieciństwa, jestem żyjącym świadkiem polskiej martyrologii i żydowskiej Zagłady. Od ponad pięćdziesięciu lat nieprzerwanie uprawiam zawód informatyka. Rozumiem więc doskonale - a na pewno nie gorzej od historyka Edwina Blacka - rolę maszyn na karty perforowane. Co więcej, w 1966 r. - jako dyrektor ośrodka ZETO-ZOWAR - zainstalowałem pierwszy za żelazną kurtyną komputer IBM. Zosta-



Maszyna do sortowania kart IBM z czasów II wojny światowej na wystawie w United States Holocaust Museum w Waszyngtonie

odległości, po czym wskazał pistoletem na teczkę, którą trzymałem w ręku. Były w niej rodzinne dokumenty i wartościowe rzeczy. Otworzył ją i uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. Następnie wskazał na mamę, która łamany rosyjskim (pochodziła z Podola) powiedziała, że ma dziecko. Żołnierz odpowiedział tylko: „Wam z syzi kriow ljotsa” i rzucił jej kawałek szmaty do zatamowania krwi, z której mama przytomnie, bojąc się zakażenia, nie skorzystała. Żołnierze podpalili dom z zabitymi i rannymi oraz polecili zanieść mamę na punkt opatrunkowy.

Pomagałem ją nieść, podtrzymując głowę. Zgubiłem sandały, przedzieraliśmy się przez gruz i tłące belki domu. Sparzyłem się i płakałem. Wtedy mama otworzyła oczy. Na Małdalińskiego siedziały tłumy mieszkańców z tobołkami, szukający się do wymarszu z miasta. Któryś z mężczyzn podskoczył do nas i pomógł nieść mamę.

Rosjanin z rozkoszą mordowali i rabowali warszawiaków. Niemcy okazywali im pogardę. Z rozkazu dowódcy wojsk niemieckich, gen. Ericha von dem Bacha-Zelewskiego, został rozstrzelany dowódca wojsk rosyjsko-ukraińskich RONA (Russkaja Osooboditielnaja Narodnaja Armia) - generał SS Mieczysław Kamieński. Co za zbieg okoliczności, że obaj oprawcy nosili polskobródną nazwiska, a Bach-Zelewski znał nawet trochę język polski (pochodził z Kaszub, a jego matką była Elżbieta Szymańska) i był spowinowacony z gen. Tadeuszem Bór-Komorowskim, dowódcą powstania, o czym ponoć rozmawiali po podpisaniu kapitulacji.

W szpitalu siedziałem albo przy łóżku mamy, albo w pokoju lekarskim i czytałem książkę o rzymskich legionach. Strasznie mnie dziwiło, że dorośli mężczyźni chodzili w sandałach i spódnickach. Nikt nie miał czasu, aby mi to wyjaśnić. A ja uciekałem w ten mój dziecięcy świat, jakie daleki od tego, co działo się w najbliższym otoczeniu. Siostry Niepokalanek, jakby wiedzione złym przeczuć, przysłały kogoś po mnie do szpitala. Wkrótce Niemcy ewakuowali szpital, a nienadających się do transportu dobili. Mama ostatnią ciężarówką pojechała na Okęcie.

Od tamtej pory przebywałem u siostr, pod opieką s. Bernardy (do niedawna żyjącej w Szymanowie). Gdy Niemcy oznajmili Niepokalanom, że ich dom ma być spalony, przeszliśmy do sierocinicy przy Rakowieckiej (obok dzisiejszej ambasady holenderskiej). Pamiętam, że tam cały czas leżeliśmy na podłodze, by nie zauważono nas przez okno. Obok, na podwórku, znajdowały się szkoły III. T. Rejtana, rozstrzelivano Polaków. W szkole też raptem 10 lat po wojnie zdałem maturę (1954). Nikomu nie mówiłem, co widziałem. Po wojnie wszyscy mieli podobne wspomnienia spotkać ze śmiercią.

Dzięki staraniom p. Wierzbickiego i sutej łapówce, wręczonej przez siostrę niemieckiego pochodzenia w sztabie Wehrmachtu, wyjechalismy podstawioną ciężarówką (z Niemcem w soferce) do Szymanowa, gdzie mieściła się główna siedziba zgromadzenia. Jechaliśmy wymiarami ulicami Warszawy, a złowroga cisza kłufa w uszy. Pamiętam, że na torach ul. Rakowieckiej, róg al. Niepodległości, naprzeciw

łem wszechstronnie przeszkolony w ośrodkach IBM - tak w Europie, jak i w USA. Napisałem nawet historię firmy IBM, ale nie zdawałem sobie sprawy z jej roli w II wojnie światowej.

Mało tego, osobiście zetknąłem się z problemem zbierania przez władze danych osobowych. W dodatku działo się to w czasie, gdy Polska należała do bloku sowieckiego, a polityka partii była ważniejsza niż życiowe interesy obywateli. W latach 1972-74 byłem pomysłodawcą i głównym projektantem ogólnopolskiego systemu ewidencji ludności: PESEL. Wymagało to stworzenia bazy danych dla 38 milionów polskich obywateli. Została ona uruchomiona na komputerach Siemens 4000, które były kopią komputerów IBM, produkowanych na licencję w Niemczech. Nasz system PESEL jest bardzo skromny, jeśli chodzi o ilość wykorzystanych danych osobowych. Co jest raczej zaletą, bowiem im mniej danych osobowych jest centralnie ewidencjonowanych, tym lepiej dla wolności obywateli.

Inicjował również Krajowy System Informatyczny. Jego centralnym punktem była INFOSTRA-DAT (1972-74), zapewniająca przepływ informacji nie tylko między instytucjami, ale także między obywatelami. Był to nasz rodzinny Internet. Podobna sieć w USA trafiła do użytku publicznego dopiero w 1983 roku. Zresztą, jej podstawowa koncepcja została stworzona dla potrzeb wojskowych w 1962 przez - urodzonego w Polsce - Paula Barana (zatrudnionego w RAND, Instytucji Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych).

www.gpr24.pl Historia wstydliva karta historii IBM

Chociaż systemy te powstawały w Polsce totalitarne, projektowane były zgodnie z zasadami cywilizacji zachodniej i miały na celu przekształcenie centralnego planowania, obowiązującego w PRL w kierunku planowania indykatywnego, typu francuskiego. W tym samym czasie angielsko-kanadyjski cybernetyk, Stanford Beer rozwijał - na zamówienie komunikującego prezydenta Chile Salvadora'a Allende - Krajowy System Informatyczny Cybersyn, który był całkowicie scentralizowany. Nie powstydziłby się go nawet sam Związek Radziecki. Z tego wynika, że rola projektanta systemów informatycznych jest szalenie ważna - niezależnie od tego, w jakim systemie politycznym działa. Nawiasem mówiąc, po promowaniu INFOSTRADY straciłem pracę w Polsce i uciekłem na Zachód.

Kilkanaście lat czekałem bezowocnie na kogoś, kto będzie kontynuował gigantyczną pracę Blacka. Aż wreszcie - biorąc pod uwagę osobiste doświadczenie dwóch systemów totalitarnych oraz wykonywany przez całe życie zawód informatyka - doszedłem do wniosku, że jestem, być może, jedyną osobą upoważnioną do napisania kolejnych rozdziałów na temat niebezpieczeństwa wykorzystania informatyki w zbrodniach przeciw ludzkości.

Bardzo silnym impulsem jest dla mnie rozwój sieci społecznych, typu Facebook czy Twitter. Zbierają one drobniutkie dane o użytkownikach i sprzedają je każdemu, kto tylko może sporo zapłacić. To tykająca bomba zegarowa. Strzelba, która spokojnie wisi na ścianie, wystrzeli - zgodnie z zasadą dramaturgii Stanisławskiego - w ostatnim akcie dramatu.

Świat pogrążył się w kryzysie. Nastąpiło zderezenie cywilizacji (Clash of Civilizations). Trwa wojna ideologiczna między chrześcijaństwem a islamem, w której bronią stają się dane osobowe. Stymulowany Internetem, szybki rozwój gospodarki globalnej wiedzie niechybnie do przyspieszonego wyczerpywania się strategicznych zasobów, co musi doprowadzić w końcu do wojen o to, co zostanie. W tej walce dane osobowe przydadzą się z pewnością.

Przejaw polskiej polityki w latach 1930

Myślę, że udało mi się wyjaśnić czytelnikom, dlaczego napisałem tę książkę i zachęciłem do jej dalszej lektury. Formułuję wnioski, które trudno usłyszeć w debacie publicznej. Uważam, że można było uniknąć Zagłady, a w każdym razie znacznie zmniejszyć jej rozmiar. Samo użycie dobrze konserwowanych maszyn IBM przyczyniło się do zamordowania 4 milionów ludzi. Przed II wojną światową nie było w państwach demokratycznych polityków, którzy mogli skutecznie stawiać czoła Hitlerowi i Stalinowi. Jedynym był Marszałek Józef Piłsudski, ale zmarł w 1935 roku, siłą rzeczy nie miał, więc wpływu na dalsze losy Europy. Polska, która uważana była za mały kraj w gronie ówczesnych mocarstw europejskich, miała szansę pokierować swą polityką tak, że Zagłada mogła mieć znacznie mniejszy rozmiar. Niestety ówczesni polscy liderzy kierowali się emocjami i złe pojętym honorem. Polska obok Jugosławii (i potem ZSRR) prowadziła najintensywniejszą wojnę partyzancką w Europie, która spowodowała ogromne i niepotrzebne straty w ludziach.

Przejaw amerykańsko-niemieckiej polityki w latach 1930-1940

To, jak polityka IBM i jej maszyn liczące (późniejsi komputerów) wspierały Zagładę w latach 1939-45, powinno wpłynąć na współczesnych informatyków, biznesmenów i polityków, aby współczesne systemy informatyczne i ich sieci teleinformatyczne nie zostały wykorzystane do podobnych haniebnych celów. Wszystko wskazuje jednak na to, że ludzie obecnie popełniają podobny błąd, jak kiedyś i nie należy się ludzi, że stan ten ulegnie poprawie.

Przykład wykorzystania amerykańskiej techniki obliczeniowej przez nazistowskie Niemcy podczas II wojny światowej nie jest, niestety, odosobnionym przykładem. Szereg amerykańskich koncernów przemysłowych nie tylko pomagało rozwijać się Niemcom w latach 1930, co można jeszcze uważać za „robienie biznesu”, ale też współpracę kontynuowało także w czasie wojny, po uzyskaniu specjalnej licencji od Mini-

sterstwa Skarbu (Department of the Treasury). A oto niektóre, bardziej znane przykłady tego rodzaju praktyki:

Ropa naftowa, tak konieczna w prowadzeniu wojny zmechanizowanej, była dostarczana Niemcom przez Standard Oil i Davis Oil Company różnymi drogami, najczęściej poprzez „słupowe” firmy w Ameryce Południowej, a nawet bezpośrednio na portugalskie Azory (2 godziny lotu samolotem z kontynentalnej Europy). Tam były w nią od razu zaopatrywane niemieckie łodzie podwodne (tzw. U-boat), by natychmiast zaatakować statki i okręty amerykańskie, brytyjskie i polskie płynące po Atlantyku. Część tych dostaw była przepompowywana do niemieckich tankowców, które potem płynęły do Hamburga w celu konwersji ropy (dla silników Diesla) w wysoko oktanową benzynę lotniczą, dla samolotów, które niszczyły amerykańskie, brytyjskie i polskie lotnictwo. W niektórych okresach rynek hiszpański i niemiecki był lepiej zaopatrzony w benzynę niż amerykański. Pikanterii dodaje fakt, że amerykańska firma w Szwajcarii dostarczała benzynę ambasadzie niemieckiej i jej agendum w tym kraju.

Transport na specjalnie przystosowanych do tego ciężarówkach był podstawowym środkiem w niemieckim „parciu na Wschód”. Otóż sprzęt ten dostarczały europejskie oddziały firm Ford i General Motors. Fabryka Ford Motor Company w Poissy koło Paryża produkowała ciężarówki dla Wehrmachtu (20 dziennie), a inna fabryka Forda w Zurichu wyremontowała 2 tysiące ciężarówek niemieckich i przerabiała je na zasilanie węglem drzewnym. Kiedy brytyjski RAF zbombardował fabrykę w Poissy w marcu 1942 r. rząd Vichy (za zgodą rządu niemieckiego) wypłacił Fordowi odszkodowanie w wysokości 38 mln franków, a fabrykę przeniesiono do Algieru, który był kontrolowany przez Vichy. Po wojnie Ford także otrzymał odszkodowanie od rządu amerykańskiego. Natomiast fabryka Adam Opel, będąca europejskim oddziałem General Motors, była zarządzana w czasie wojny przez Amerykanina - Eduarda Wintera, raz aresztowanego przez Gestapo, który po interwencji Himmlera (Szefa SS i Gestapo) został wypuszczony i mógł nadal kierować firmą. Na parę miesięcy przed wypowiedzeniem przez Stany Zjednoczone wojny Niemcom, 11 stycznia 1941 roku, GM (znając politykę Roosevelta, który już od początku 1940 uzbierał Stany Zjednoczone) mianowało Niemca Carla Luera dyrektorem operacyjnym firmy, przewidując, że po wybuchu wojny Niemcy obsadzą to stanowisko swoim człowiekiem. I tak się stało, ale dopiero po 11 miesiącach trwania wojny Luer został mianowany przez Niemcy oficjalnym „opiekunem” Opla. Firma ta wyprodukowała 50 proc. systemu napędowego bombowca Junkers Ju 88, który siał zniszczenie w zdobywanej Europie, we wrześniu 1939 zniszczył 30 proc. budynków w Warszawie. Około 6000 transporterów wojskowych wyprodukowanych przez amerykańską Opla (w latach 1930 GM mocno inwestował w rozwój Opla w Niemczech, który miał 40 proc. rynku i 60 proc. w eksporcie) zostało wykorzystanych w napaści na Polskę.

Łożyiska są podstawą funkcjonowania zmechanizowanych systemów wojskowych, w tym w lotnictwie i okrętach. Wielki szwedzki koncern SKF zaopatrywał praktycznie cały świat w swoje łożyska. W czasie wojny dostarczał największą ich ilość ze swych fabryk, w tym z Filadelfii, do nazistowskich Niemiec, nawet koncesje amerykańskich potrzeb. Wynikało to m.in. z tego, że biznes z Niemcami był pewny, a ich sprowadzanie zwycięstw w Europie mogło utrwalić na dobre ów biznes. Poza tym w grę wchodziły osobiste sympatie szefa firmy w stosunku do nazistów. Dodam, że niemiecki producent łożysk FAG w Schweinfurcie sprytnie rozproszył swoją produkcję w górach północnej Bawarii nim niemiecko zostało zbombardowane.

Łączność telefoniczna i telegraficzna była podstawą niemieckich sukcesów w Europie. Otóż ów system telekomunikacyjny został zbudowany w Niemczech przez amerykański koncern ITT (International Telephone & Telegraph), który pierwszy w świecie zbudował zintegrowaną światową sieć telefoniczną. Firma

ITT, kierowana z Nowego Jorku, funkcjonowała w Niemczech w czasie wojny, za pozwoleniem Gestapo i przy zamkniętych oczach amerykańskiej administracji. Firma produkowała także tele-systemy dla Niemiec w swych fabrykach w neutralnych państwach, takich jak Hiszpania, Portugalia, Szwajcaria i Szwecja. Niemiecka armia, marynarka i lotnictwo kupowały od ITT centrale telefoniczne, telefony, gongi alarmowe, boje sygnalizacyjne, urządzenia ostrzegawcze w samolotach, sprzęt radarowy i 30 000 bezpieczników mieszczenie potrzebnych artylerii, która zabijała amerykańskich, francuskich, brytyjskich, polskich, hinduskich i innych żołnierzy.

Amerykański koncern Bandix Aviation pod koniec 1940 r., kiedy Niemcy zajęły Francję, Belgię i Holandię, czyli wojna była w pełni, dostarczył pełną dokumentację techniczną firmie Robert Bosch dla produkcji rozruszników silników diesla dla samolotów, czołgów i ciężarówek.

Podstawą rozwoju i wielkich operacji biznesowych jest system bankowy. W tym celu centralne banki Niemiec, USA, Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch, Japonii i Szwajcarii powołały w 1930 r. w Bazylei Bank for International Settlements (BIS) (Bank Rozrachunków Międzynarodowych), z oddziałami w Hong-Kongu i Meksyku. Kierował nim Amerykanin - Thomas H. McKittrick, ale wkrótce był de facto kontrolowany przez nazistowskie Niemcy. Bank obsługiwał transfery (między wymienionymi państwami) należności, funduszy oraz lokat i grabowanego złota od ludzi zamordowanych w obozach koncentracyjnych. Służył świetnie wszystkim, którzy chcieli zarobić na wojnie, a nie zwracali uwagi na jej moralny i patriotyczny aspekt, w tym na fakt, kto jest wrogiem, a kto przeciwnikiem.

Wielu amerykańskich i francuskich autorów uważa, że Wall Street wytoczył Hitlerowi drogę do zwycięstwa. Zaczęło się to już w 1920 r. na wzór budowania sił zbrojnych Armii Czerwonej od 1917 r. Na przykład w 1934 Niemcy produkowały 300 000 ton naturalnej benzyny i 300 000 ton syntetycznej benzyny, ale 10 lat później, w czasie II wojny światowej było to już 20-krotnie więcej - 6,5 miliona ton benzyny, z czego 85% stanowiła syntetyczna benzyna, uzyskiwana dzięki patentom i pomocy technicznej przekazanej przez amerykański Standard Oil of New Jersey. Jej produkcję zajmował się koncern I. G. Farben, który powstał w 1926 r. dzięki kredytowi udzielonemu Niemcom przez Wall Street. Funkcjonuje opinia, że bez pomocy I.G. Farben Hitler nigdy nie doszedłby do władzy, nie byłoby, więc II wojny światowej. Warto zauważyć, że pod koniec 1939 koncern ten zarządził 380 innymi niemieckimi firmami i 500 firmami zagranicznymi, które pracowały nad rozwojem niemieckiej maszyny wojennej.

Hitler doszedł do władzy dzięki sprzeciwowi Niemców wobec płacenia wysokich reparacji wojennych Francji w wysokości 132 miliardów złotych marek rocznie. Spłaty nastąpiły dzięki planowi amerykańskiego banku J.P. Morgan (tzw. Plan Dawesa), co spowodowało się do udzielenia pożyczki w wysokości 800 milionów dolarów. Z tych środków zostały m.in. utworzone koncerny I. G. Farben i Vereinigte Stahlwerke, które umożliwiły Hitlerowi dojście do władzy. Produkowały one większość uzbrojenia na potrzeby II wojny światowej (w tym 95% materiałów wybuchowych). W wyniku Planu Dawesa i Younga Niemcy spłacały reparaacje wojenne dzięki amerykańskiemu pożyczkom w wysokości 33 miliardów marek, z czego tylko 3 miliardy szły faktycznie na spłatę, a reszta - na realizację niemieckiego pomysłu wojennego.

Istnieje uderzające podobieństwo między Nowym Ładem (New Deal) Roosevelta a Planem 4-letnim Hitlera. Według Suttona (2002, str. 22-32) oba były opracowane przez tych samych specjalistów z amerykańskiej firmy General Electric, która miała swój oddział w Niemczech. Ten sam autor (str. 167) twierdzi, że Wall Street pchnął Hitlera do wojny z Francją, w 1940, aby ograniczyć światowe wpływy mocnej francuskiej finansjery, m. in. potężnej rodziny Rothschildów. Hitlera nie trzeba było długo namawiać, ponieważ nienawidził Francuzów (za bezwzględne żądania płacenia odszko-

dowań wojennych, których Niemcy nie były w stanie spłacać), a Rosjan postrzegał, jako „niższą” rasę. Z dzisiejszej perspektywy był to pozytywny wpływ Wall Street, ponieważ dzięki temu Hitler przeżył II wojnę światową. Gdyby postąpił logicznie i najpierw (1940) zaatakował ZSRR, dostarczyłoby olbrzymie wsparcie państw zachodnich zarówno w postaci kredytów, jak i wszelakiego rodzaju dostaw, które uczyniłyby Niemcy potęgą bardzo trudną do pokonania przez Zachód, który raczej wolałby „robić biznes” z Niemcami, niż pójść z nimi na wojnę.

W czasie wojny niemieckie koncerny, w których udziały miały firmy i banki amerykańskie, nie były bombardowane przez amerykańskie lotnictwo. Na przykład fabryki koncernów A. E. G. i I. T. T. oraz I. G. Farben (w Auschwitz-Oświęcimiu) bez dostawby zaopatrywały sprzęt elektryczny i materiały wybuchowe tak konieczne dla prowadzenia wojny.

W kręgu przyjaciół Hitlera, Goeringa, Goebbelsa i Himmlera byli m.in. liderzy niemieckich firm, oddziałów amerykańskich koncernów. Interes był obopólny, niemieckim liderom chodziło o angażowanie tych firm w rozbudowę niemieckiego przemysłu, a owym biznesmenom o zapewnienie zamówień. Jednym z ubocznych celów była donacja na tzw. „osobiste” rachunki wspomnianych nazistów, którzy mieli ułatwić zadanie w realizowaniu swych planów i potrzeb. Listy owych biznesmenów podaje Sutton (2002, str. 99-132).

Dziś po 80 latach od rozpoczęcia II wojny światowej powstaje pytanie, jak to było możliwe, że na przykład w Stanach Zjednoczonych firmy mogły równocześnie zaopatrywać obie strony konfliktu wojennego bez ingerencji rządu amerykańskiego. Otóż miało to miejsce, zwłaszcza na niższych szczeblach, ale było szybko tuszowane na wyższych szczeblach przez ludzi, którzy pochodzili z tych firm (oddelegowani na czas wojny do administracji) albo byli przez nie odpowiednio „motywowani”. Prezydent Roosevelt był świadomy sytuacji i przeciwny takim praktykom, ale bał się, by przemysł ten nie zwolnił tempa dostaw dla amerykańskich potrzeb wojennych. Fakt jest, że po wojnie żaden z wielkich biznesmenów - tak amerykańskich (działających na szkodę własnego kraju), jak i nazistowskich - nie odpowiedział prawnie za swe winy. Natomiast strategia firm polegała wówczas na tym, żeby zabezpieczyć sobie rynek zbytu tak w czasie wojny, jak i po jej zakończeniu, niezależnie od tego, kto wygra. Jedynie, czego obawiali się politycy i biznesmeni, to, aby opinia publiczna w demokratycznej Ameryce nie dowiedziała się o tego typu sprawach z prasy, tak w czasie wojny, jak i po niej.

Gwoli sprawiedliwości należy przypomnieć, że Stany Zjednoczone weszły do wojny w 2 lata i 3 miesiące po ataku Niemiec na Polskę. W tych latach amerykański biznesmeni byli szalenie gościnnie i osobiste przyjmowani przez Hitlera, Goeringa i Himmlera, którzy ułatwiali im robienie biznesu w III Rzeszy. Niemieccy liderzy potrzebowali amerykańskiego sprzętu, systemów oraz ropy. Niektórych amerykańskich biznesmenów nazistowscy przywódcy wykorzystywali, jako specjalnych wysłanników, którzy mieli przekonywać prezydenta Roosevelta do zaniechania planów wojennych. Byli oni często promotorami socjalizmu narodowego wśród niemieckich emigrantów, a także planowali obalenie prezydenta i zaprowadzenie dyktatury nazistowskiej w USA. Wówczas prowadzono grę na kilku fortopianach równocześnie, mając nadzieję, że „muzyka” jednego z nich przyciągnie się na stałe w świecie a biznes będzie miał się jeszcze lepiej.

Stąd rodzi się pytanie, czy jest sens dla zwykłych obywateli dążyć do wojny lub brać w niej udział, skoro niezależnie od jej wyniku, zawsze będą ludzie, którzy „zbiorą plon” z każdej wojny. Historia jest powtarza w początkach XXI wieku. Kiedy biznes amerykański i zachodnioeuropejski wysła produkcję do krajów z tanią siłą roboczą, likwidując klasę średnią w swych ojczyznach i doprowadzając je do strukturalnego kryzysu. Dzięki temu biznes zarabiał krocie, a ludzie tracą pracę, która jest gwarantem ich przeżycia. Jak widać, strategia wielkiego biznesu ma swe rozwiązania, tak na czas wojny, jak i pokoju.



NATURMED Ośrodek Medycyny Manualnej i Osteopatii

Ursus-Gołębki ul. Koronacyjna 15

Zapisy: tel.: +48 604 092 007, 22 662 49 07

pon. - pt. w godz. 9:00 - 17:00

Dogodne terminy zabiegów dla osób pracujących

W czasie epidemii najlepszy ratunek na ból bez leków

LECZYMY

- Bóle ostre,
- przewlekłe,
- nagłe,
- pourazowe,
- nerwobóle,
- bóle głowy,
- kręgosłupa,
- barku,
- kolan,
- bioder.

Mgr JAKUB GÓRNICKI - leczy nagłe, ale też i przewlekłe zespoły bólowe oraz trudne przypadki kliniczne bezskutecznie leczone metodami szpitalnymi, sanatoryjnymi lub lekami. Jest wykładowcą w jednej z warszawskich uczelni na Wydziale Fizjoterapii oraz Medycyny Osteopatycznej.

Uzyskał dyplom osteopaty w Anglii.

Pierwsza konsultacja jest bezpłatna, aby ustalić wskazania do zabiegu lub przeciwwskazania. Należy przynieść badania (również dawne) RTG lub rezonans.



Mgr Jakub Górnicki

Zbiegi u mgr Jakuba Górnickiego w ogromnej liczbie przypadków zapobiegają operacjom przepuklin kręgosłupa oraz stawów kolan, bioder, ramion, barku.

Techniki zabiegów usprawniają połączenia i zależność od kręgosłupa układu krwionośnego oraz nerwowego, likwidując różne bóle.

Wskazaniami do zabiegów u osteopaty są m.in.: zaburzenia czucia, drętwienie rąk, drętwienie i bóle nóg, stany pourazowe, naciągnięcia, „kolano skoczka”, „łokieć tenisisty”, rwa kulszowa, rwa barkowa, bóle kręgosłupa w każdym odcinku, różnego rodzaju zwichnięcia oraz wiele innych.

OSTEOPATIA to doskonała i uznana metoda leczenia w systemie medycznym. Efekty są rewelacyjne. Należy mieć badania: RTG lub MR (rezonans magnetyczny), ew. badania dotyczące innych chorób.



„Dziękuję Panu Górnickiemu za zabiegi. Dzięki niemu uniknąłem operacji kręgosłupa i barku. Mogę być znów aktywny zawodowo i w sporcie”. Marek W. (l. 41) z Warszawy.

WAŻNE!

Usuwane są również zaburzenia funkcjonalne: układu gastrycznego, urologicznego, oddechowego, zaburzenia koordynacji i psycho-motoryki u dzieci, zespoły bólowe u kobiet w ciąży - bez leków.

Diagnostyka i korekta wad postawy u dzieci i młodzieży.

Mgr Górnicki zaprasza na bezpłatną konsultację, by ustalić możliwość leczenia oraz ewentualne przeciwwskazania.

Ośrodek Naturmed proponuje dogodne terminy i godziny zabiegów dla pracujących.

Sens leczenia kręgosłupa lekami jest taki sam, jak leczenie bólu zęba tabletkami, a nie u dentysty.

Na ratunek psychice!

Pandemia sprawia, że stajemy się robotami, automatami sterowanymi przez świat wirtualny, łatwo atakuje stres i błędzenie.

W coraz bardziej wymagającej rzeczywistości – gubią się niemal wszyscy, także młodzież i dzieci, cierpi psychika, a także zdrowie fizyczne. Agresywne, często zakłamane informacje i propozycje – tylko POZORNIE dają nadzieję i zawodzą. Za drobne sukcesy płacimy zniszczonymi relacjami osobistymi, rodzinnymi, dom staje się tylko hotelem.

SMS-y, kontakty online – nie zastąpią spotkań osobistych, brakuje dotyku, uczuć. Samemu bardzo trudno sobie pomóc, obronić się, czy sobie doradzić, pocieszyć. Odczuwanie braku wyjścia z różnych sytuacji rani. Ale – Drodzy Czytelnicy – nadzieją jest pomoc u dobrego, mądrego psychologa.

Takim jest mgr Anna Bzdak, która od ponad 25 lat pomaga i ratuje psychikę. Proponujemy zadzwonić na tel.: +48 604 092 007 lub 22 662 49 07 do Ośrodka Medycznego NATURMED i dowiedzieć się więcej.

Pani mgr Anna Bzdak jest również doskonałym PSYCHOGRAFOLOGIEM, zajmuje się między innymi sprawami (na potrzeby sądowe):

- identyfikację testamentów, dokumentów różnych, podpisów
- anonimów (wykrywa fałszerstwa lub potwierdza prawdziwość).

NA TRUDNY CZAS PANDEMII – POMOC DLA NASZEJ PSYCHIKI – BEZ LEKÓW!

- depresje, lęki, bezsenność, nerwice
- osamotnienie, beznadzieja, brak nadziei, ostry stres
- nieradzenie sobie z hejtami i zagrożeniami online
- utrata zaufania do ludzi i spraw, stalking
- ratowanie więzi rodzinnych, małżeńskich

DZIĘKI POMOCY SPECJALISTYCZNEJ pacjenci ukończyli studia, uratowali swoje małżeństwa i związki, dokonali właściwych wyborów, podjęli trafne decyzje, powrócili do normalnego, aktywnego życia, podjęli pracę.

Zapisy od pon. do pt. w godz. 10:00 – 16:00. Gołębki, ul. Koronacyjna 15, Ośrodek Medyczny NATURMED.

Możliwość odbycia e-wizyty (teleporady), tel. do mgr Anny Bzdak +48 502 676 584



Nad Poznaniem Komeda

Krystian Wagay
Foto - Hieronim Dymalski

Koncertowanie rozpoczęte w Jezyckim Centrum Kultury, ale w małym reżimie, do którego przywykli już stali bywalcy. Z zaproszenia na tematyczny koncert – w roli głównej Krzysztof Komeda – skorzystali jazzmani, by skonfrontować po raz wtóry inne wykonania kompozycji poznańsko – ostrowskiego ponad czasowego twórcy.

Trzeba przypomnieć, że już młode poznańskie zespoły w latach 90-tych przypominały kompozycje Krzysztofa Komedy Trzcńskiego.

Liderami tych formacji byli m.in. P. PIŁA-SIEWICZ, BRACIA KOSTKA, PIOTRSCHOLZ, WEEZOB COLLECTIVE. Przyczynili się do głębszego poznania twórczości Komedy, wcale nie łatwego do akceptacji nawet przez wyrobionych jazzfanów. Lansowały te Młode ASOCJACJE uformowane przez absolwentów poznańskiej Akademii Muzycznej program KOMEDY. Naprzód młodzieży – do celu, który był ważny dla polskiego jazzu chciałoby się po trzech dekadach napisać. Szli niekiedy pod prąd i aranżowali kompozycje Komedy po swojemu a efekty



Na zdjęciu od lewej: Krzysztof Wodniczak w rozmowie z Dionizym Piątkowskim

możemy ocenić na wydawnictwach, jakie w przeciągu 30 lat wydały najróżniejsze firmy fonograficzne.

Okazało się, że nie tylko muzycni debiutanci mogą się inspirować twórczością Krzysztofa Komedy Trzcńskiego. Doświadczeni muzycy z Poznania i Norwegii także „zmierzili się” z wyjątkową fakturą dźwiękową stworzoną przez Komede, z pogranicza muzyki filmowej, suit baletowych czy swingujących wachlarzy w dur i moll. Chociaż tych drugich jest znacznie więcej, można powiedzieć, że nawet dominują. I w ten sposób spojrzenie na muzykę Komedy przerasta jakkolwiek wyobraźnię, a przestrzeń jaka się wynurza jest niczym innym jak werbalną odpowiedzią na przypląwy i odpływy w nostalgicznych oczekiwaniach.



Na zdjęciu od lewej: Jerzy Konopa, Remigiusz Kosmański, Jarosław Radtkowski, Michał Szustek

Grający muzycy obeznani z muzycznym alfabetem przez dziesiątki lat pamiętali o 90-tej rocznicy urodzin poznańsko – ostrowskiego jazzmana i zaprosili słuchaczy do Jezyckiego Centrum Kultury by przekazać swoje nowatorskie aranżacje z im tylko znanymi niuansami. Jarosław Radtkowski – śpiew, perkusja, instrumenty perkusyjne; Michał Szustek – aranżacje, piano; Jerzy Konopa – saksofon tenorowy, trąbka i Remigiusz Kosmański – gitara basowa. W tym składzie kwartet wykonał następujące utwory: 1. ROSEMARY'S BABY 2. THISOR THIS 3. NIEKOCHAN 4. BALLAD FOR BERT

5. CRALY GIRLS. Te obiegowe utwory zagrane przez kwartet przypominały nam świetne lata polskiego jazzu, które trwają do dzisiaj. Są osoby dbające o jego rozwój i przyczyniają się, że ta muzyka w swoim pierwotnym założeniu jest bliska wszystkim wrażliwym wychowanym na pierwszym longplayu Komedy ASTIGMATIC nagrany w 1967 roku.

Słowem wstępnym podzielili się Dionizy Piątkowski, autor książki – „Czas Komedy” a Krzysztof Wodniczak przypomniał ostrowski okres Komedy – lata 1947 – 1952.

REKLAMA



Restauracja Pizzeria

Organizujemy przyjęcia okolicznościowe, szkolenia, spotkania firmowe, konsolacje

Pizza24
ul. Staszica 1d lok 1u
tel.: +48 731 024 818
pizza24pruszkow@wp.pl
www.pizza24hpruszkow.pl





Historia pruszkowskiego judo

Wiesław Pośpiech - dziennikarz sportowy
Foto - zbiory Marka Pintary, Piotr Tomaszewski

Założycielem pierwszego klubu (sekcji) judo w Pruszkowie w roku 1973 w TKKF ANIELIN jest zawodnik WKS LOTNIK Warszawa – Marek PINTARA.

Od roku 1976 pracę PINTARY kontynuuje Janusz KACZANOWSKI – instruktor judo i zawodnik GWARDII Warszawa. Natomiast w roku 1998 zostaje założony przez duet pasjonatów tej dyscypliny, jednocześnie zawodników wyczynowych GWARDII Warszawa: Janusza BECZKA i Janusza KACZANOWSKIEGO Uczniowski Klub Sportowy Kata Pruszków.

Gdzie wychowali plejadę znakomitych zawodników w tym między innymi: Jakuba CHEBDE, Janusza PODGÓRNEGO, Mateusza CIESIELSKIEGO oraz Macieja MICHAŁSKIEGO i Macieja PRZYGODE – kontynuatorów swej pracy duetu do których dołączył Marcin PINTARA – utytułowany zawodnik GWARDII Warszawa – Akademicki Mistrz Polski i w tym momencie historia zatoczyła koło, bowiem jest kontynuatorem pracy swego ojca Marka PINTARY – mieszkańca ulicy Narodowej, która wychowała plejadę wybitnych sportowców w tym: Ryszarda SZYMCAKA – mistrza olimpijskiego Monachium 1972, koszykarki: Irenę SALA, Zofię MIEDZIAK i Zofię OLSZEWSKĄ, koszykarzy oraz trenerów: braci Leszka i Jurka JURGASIOŃ, znakomitego zawodnika – Andrzeja KUKLEWSKIEGO, Wiesława RUTKĘ – bramkarza pruszkowskiego ZNICZA i WISŁY Chicago, Władysława MICHTĘ – pięściarza STALI i ZNICZA Pruszków oraz FLOTY Gdynia i wielu innych oraz wspomnianego Marka PINTARĘ – rodowitego pruszkowianina, judokę – 6 DAN, drugiego w historii polskiego judo, młodzieżowego wicemistrza Europy, wielokrotnego mistrza i medalistę mistrzostw Polski wszystkich kategorii wiekowych indywidualnie i drużynowo w barwach WKS LOTNIK Warszawa. Zwycięzcę i medalistę Turniejów Międzynarodowych i krajowych, członka pierwszej olimpijskiej kadry polskich Judoków i uczestnika pierwszego historycznego meczu Polska – Japonia, gdzie zremisował z utytułowanym przeciwnikiem. Prezesa Polskiego Związku Judo, sędziego międzynarodowego oraz pomysłodawcę i twórcę systemu mistrzjudo.pl, który zawiera tysiące nazwisk, wyników i ciekawostek zbieranych przez dziesiątki lat, dotyczących wszystkich medalistów polskich od medalu brązowego juniorów do mistrzów i medalistów olimpijskich i wreszcie współtwórcę i producent filmu: - „Historia Polskiego Judo 1951-1996”. Skromny „chłopak” z Narodowej wpisał się złotymi zgłoskami w historię polskiego i światowego judo oraz do wirtualnej Księgi Najwybitniejszych Sportowców Pruszkowa – Miasta Sportu.

Ponadto, a może przede wszystkim nadal służy radą i nieocenioną pomocą w pracy Uczniowskiego Klubu Sportowego „KATA” Pruszków, gdzie w ostatnich dniach kwietnia miałem wspaniałą okazję wspomnieć w gościnnej Sali pruszkowskiej SP Nr 2, gdzie od 23 lat funkcjonuje DOJO – czyli miejsce, w którym kontynuatorzy jego działań uczą przyswajania i szanowania wartości moralnych judo i tradycji tej oryginalnej sztuki walki, zdefiniowanej przez mistrza Jigoro Kano w 1882 roku oraz serdecznie zapraszają wszystkich chętnych do udziału w nauce tej jakże niezbędnej w życiu codziennym, szlachetnej sztuki walki. Wszystkich sympatyków, fanów i kibiców sportu, a zwłaszcza judo zapraszam na stronę mistrzjudo.pl oraz zachęcam do obejrzenia filmu: - „Historia Polskiego Judo 1951 – 1996”. Zapewniając, że tyle i takich wiadomości oraz wrażeń w jednym miejscu to prawdziwa uczta dla konesera.



Zwierzania mistrza



Mistrz Marek PINTARA przygotowuje syna Radosława 5 KYU (UKJ RYŚ Warszawa) do WOM, gdzie wywalczył tytuł wicemistrza 2021 – kategoria 73 kg



1966 - Reprezentacja Polski. Drugi od lewej Marek PINTARA



1964 – Koledzy nad polskim morzem. Pierwszy od prawej - Marek Stanisław KRAWCZYK – rodowity pruszkowianin, polski profesor medycyny, wybitny specjalista w dziedzinie chirurgii ogólnej, chirurgii onkologicznej oraz transplantologii klinicznej, członek korespondent Polskiej Akademii Nauk. Drugi Marek PINTARA



ŻBIKOWSKA FERAJNA – 1957. Ulica NARODOWA. Trzeci od lewej Ryszard SZYMCZAK – Mistrz Olimpijski z Monachium 1972. Pierwszy od prawej Marek PINTARA



Młodzieżowe Mistrzostwa Europy – Lyon(Francja) Marek PINTARA – drugi wicemistrz w historii polskiego judo



Mistrzostrowie Polski Seniorów 1968. WKS LOTNIK – czwarty od lewej Marek PINTARA



1964. Mistrz Polski Juniorów Marek PINTARA – WKS LOTNIK – waga lekka



POWIATOWY URZĄD PRACY w PRUSZKOWIE

05-800 Pruszków, ul. Drzymały 30 wejście C, pokój nr 129
tel.: (22) 770 20 32/45 <http://pruszkow.praca.gov.pl>



1. Pracownik Porządkowo-Magazynowy - wykształcenie średnie zawodowe. Wymagane uprawnienia do obsługi wózków jezdniowych podnośnikowych z mechanicznym napędem podnoszenia z wyłączeniem wózków z wysięgnikiem oraz wózków z osobą obsługującą. Praca w Parznie. **Oferta nr 887.**
2. Zastępca kierownika sklepu - wykształcenie podstawowe. Wymagane doświadczenie na podobnym stanowisku. Mle widziana książeczka do celów sanitarno-epidemiologicznych. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 892.**
3. Pracownik produkcyjny - wykształcenie min. zawodowe. Doświadczenie zawodowe min. rok. Wymagane umiejętności techniczne, sprawność manualna. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 897.**
4. Elektromechanik - wykształcenie średnie zawodowe. Wymagane uprawnienia do obsługi wózków jezdniowych podnośnikowych z mechanicznym napędem podnoszenia z wyłączeniem wózków z wysięgnikiem oraz wózków z osobą obsługującą. Doświadczenie zawodowe min. 2 lata. Praca w Nadarzynie. **Oferta nr 904.**
5. Salowa - wymagana sumienność w wykonywaniu obowiązków, mle widziana książeczka do celów sanitarno-epidemiologicznych. Praca w Pruszkowie. **Oferta nr 925.**
6. Opiekun - wykształcenie średnie. Wymagane doświadczenie w pracy w opiece nad osobami starszymi. Praca w Brwinowie. **Oferta nr 926.**
7. Pracownik ogólnobudowlany - wykształcenie podstawowe/zawodowe. Wymagane minimum 3 letnie doświadczenie w zawodzie. Praca w Brwinowie. **Oferta nr 932.**
8. Sprzedawca na stacji paliw - wykształcenie nie wymagane. Gotowość do pracy zmianowej/pracy w godz. nocnych. Praca w miejscowości Kotowice. **Oferta nr 938.**
9. Szlifierz - wykształcenie min. zawodowe. Staż pracy min. 5 lat. Podstawowa znajomość obróbki skrawaniem. Praca w Grodzisku Mazowieckim. **Oferta nr 943.**
10. Pilarz/pracownik produkcji wytwarzający drobne elementy metalowe - wykształcenie zawodowe. Wymagane doświadczenie w zawodzie. Praca w Otrębusach. **Oferta nr 945.**
11. Kierowca autobusu - wykształcenie min. zawodowe. Staż pracy 10 lat. Prawo jazdy kat. D kod 95 kurs na przewóz osób. Praca na trasie Piastów - Janki. **Oferta nr 946.**

**AUTORYZOWANY
PUNKT SPRZEDAŻY**

Libet
Platinum

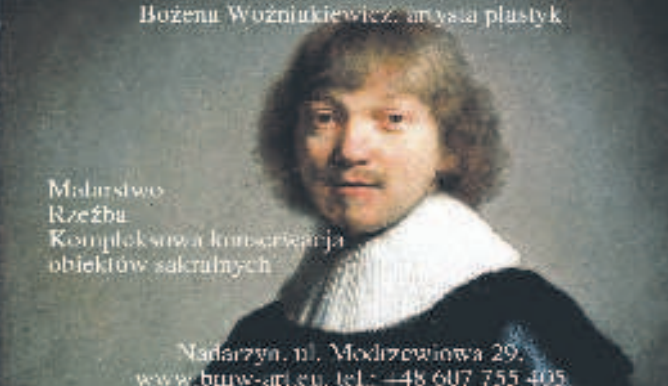
Good Bruk
www.goodbruk.com.pl



**KOSTKA BRUKOWA
PŁYTY TARASOWE
KAMIEŃ OZDOBNY**

Konie k/Pruszkowa
ul. Źdrojowa 36
tel.: 22 770 61 30
408 344 017
kumie@goodbruk.pl

KONSERWATOR DZIEŁ SZTUKI
Bożena Woźniakiewicz, artysta plastyk



Malarstwo
Rzeźba
Kompleksowa konserwacja
obiektów sakralnych

Nadarzyn, ul. Modrzewiowa 29.
www.bmw-art.eu, tel.: +48 607 755 405

BIURO RACHUNKOWE
Renata Pośpiech

Oferuje pełen zakres usług księgowych

Nowa Wieś, ul. Główna 53
Tel.: +48 513 728 514
e-mail: renatapospiech.biuro@gmail.com
ZAPRASZAM DO WSPÓŁPRACY

KOMPUTERY



Wybierz lepszą przyszłość
- wybierz CENTERPOL

www.centerpol.pl
tel.: +48 22 759 82 83

PROFESJONALNA NAPRAWA LAPTOPÓW
05-800 Pruszków, Aleja Wojska Polskiego 16a, paw. 20

Profil

**AGENCJA
WYDAWNICZO
REKLAMOWA -
PROFIL MEDIA**

**WYDAWCA GAZETY -
Głos Pruszkowa
oraz portalu - www.gpr24.pl**

Redakcja Głosu Pruszkowa: 05-806 Komorów, ul. Moniuszki 6 lok. 2, tel.: (22) 758 11 10, +48 604 194 054, skype: grafik9513, www.gpr24.pl, redakcja@gpr24.pl
Redaktor Naczelny: Mirosław Kalinowski, tel.: (22) 758 11 10 Z-ca Redaktora Naczelnego: Adam St. Trąbiński, tel.: (22) 759 47 85. Sekretarz Redakcji: Gabriela Milewska, tel.: (22) 758 11 10. Zespół redakcyjny: Mirosław Kalinowski, Adam St. Trąbiński, Feridun Erol, Jerzy Antkowiak, Maciej Bugajak, Grzegorz Zegadło, Zbigniew Poręcki, Maciej Woźniakiewicz, Jerzy W. Rył, Włodzimierz Szpak, Wiesław Pośpiech, Grażyna Siczek, Tomasz Długosz-Trąbiński, Tomasz Malczyk, Leszek Kożusko, Gerard Połozynski, Marian Skwara, Tomasz Suwała, Marek Strójwąg, Michał Kaleta. Stała współpraca: Muzeum Duląg 121, MOK Pruszków. Nakład: 20 tys. szt. w miesiącu. Zasięg: Brwinów, Janki, Komorów, Kanie, Malichy, Michałowice, Nowa Wieś, Nadarzyn, Otrębusy, Ożarów Mazowiecki, Piastów, Pruszków, Podkowa Leśna, Raszyn, Reguły, Tworki i Warszawa Ursus.
Dział reklamy i ogłoszeń: tel.: (22) 758 11 10, mobil: +48 604 194 054, redakcja@gpr24.pl Wydawca: Agencja „PROFIL”, 05-806 Komorów, ul. Moniuszki 6 lok. 2, tel.: (22) 758 11 10. Grafika i skład: Studio graficzne Agencji Profil, Mirosław Kalinowski tel.: +48 604 194 054.

Materiałów nie zamawianych nie mamy obowiązku publikowania. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i redagowania publikowanych tekstów.
© Prawa autorskie zastrzeżone. Kopiowanie układów i elementów graficznych oraz ich wykorzystywanie w innych publikacjach jest prawnie zabronione.
Przedruk materiałów tylko za zgodą redakcji.

Oferta dla absolwentów szkół podstawowych
Szkoła Mistrzostwa Sportowego
– Liceum Ogólnokształcące w Pruszkowie
rok szkolny 2021/2022

**ODDZIAŁ
OGÓLNOKSZTAŁCĄCY
SPORTOWY**

Przedmioty rozszerzone:
 język angielski
 oraz do wyboru
 geografia lub biologia
Dodatkowy przedmiot
 psychologia sportu

Jedna klasa ze specjalizacją
piłka nożna.
 Druga klasa ze specjalizacjami
piłka koszykowa,
piłka siatkowa, pływanie sportowe.
 Tygodniowo 10 godzin zajęć sportowych.

**ODDZIAŁ
OGÓLNOKSZTAŁCĄCY**

Przedmioty rozszerzone:
 język angielski
 WOS
 geografia.



**ODDZIAŁ
MISTRZOSTWA
SPORTOWEGO**

Przedmioty rozszerzone:
 język angielski
 biologia
Dodatkowy przedmiot
 psychologia sportu

Jedna klasa ze specjalizacją
piłka nożna.

Tygodniowo 16 godzin zajęć
sportowych.

 22/758-89-62, 577-100-047

 www.zsoispruszkow.pl

 ul. Gomulińskiego 2, 05-804 Pruszków



CALYPSO

Zostań Klientem Biura Księgowego!

Oferujemy kompleksową obsługę księgową

- | | |
|---|-----------|
| • Księgi handlowe | od 500 zł |
| • KPIR | od 120 zł |
| • Ryczałt ewidencjonowany | od 100 zł |
| • Kadry i płace | od 36 zł |
| • Rolnicy | od 50 zł |
| • Dotacje i obsługa wniosków | |
| • Tarcza antykryzysowa | |
| • Rejestracja działalności | |
| • Wyprowadzanie zaległości | |
| • I wiele innych usług związanych z prowadzeniem własnej działalności | |

CALYPSO Sp. z o.o. www.calypso.net.pl
 tel.: +48 731 535 042 | calypso@calypso.net.pl



Wyjątkowe wakacje



**Kolonie, obozy,
półkolonie.
Wakacyjne
szkolenie
jeździeckie**

**Kanie k/Pruszkowa, ul. Krótka 9
tel./fax: 22 758 58 35, 501 978 501
www.patataj.com**